

STEFAN KISIELEWSKI

PODRÓŻ W CZASIE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1982

PODRÓŻ W CZASIE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 363

2-7168-0016-2

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

STEFAN KISIELEWSKI

PODRÓŻ W CZASIE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1982

TEGOŻ AUTORA

POWIEŚCI:

Sprzysiężenie, „Panteon”, Warszawa 1947. „Wydawnictwo Literackie”, Kraków 1957.

Zbrodnia w Dzielnicy Północnej, Zdzisław Gustowski, Poznań 1948. „PAX”, Warszawa 1956. (Liczne druki w odcinkach w kraju i za granicą).

Przygoda w Warszawie, w odcinkach „Tygodnika Powszechnego” 1958. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1977.

Jako Teodor Klon:

Miałem tylko jedno życie, „Wydawnictwo Literackie”, Kraków 1958. (W odcinkach „Przekrój” i inne).

Kobiety i telefon, Czytelnik, Warszawa 1960.

Jako Tomasz Staliński:

Widziane z góry, Instytut Literacki, Paryż 1967.

Cienie w pieczarze, Instytut Literacki, Paryż 1971.

Romans zimowy, Instytut Literacki, Paryż 1972.

Śledztwo, Instytut Literacki, Paryż 1974.

Ludzie w akwarium, Instytut Literacki, Paryż 1976.

OPOWIADANIA:

Opowiadania i podróże, „Znak”, Kraków 1959.

Jako Teodor Klon:

Historie żydowskie, „Kultura”, Paryż 1960, Nr 12.

I. INTRODUKCJA CZYLI PUNKT WYJŚCIA

Chodzić po mieście szybko, na pamięć, choć czasem z zaskoczeniem! Ćwierć wieku przecież minęło, dokładnie tyle. Wtedy jeszcze Warszawa przetkana była tu i ówdzie gruzem lub przepleciona pustką po zburzonych i potem rozebranych dzielnicach. Teraz wszystko wypełniono, nasiano też centrum tu i ówdzie szklanymi „drapaczami chmur”, nie licząc sowieckiego pałacu kultury, niby białego, w istocie jakby ulepionego z żółtawego ciasta i cukru. — Straszny sen cukiernika — mówiono sobie z pokrzepiającym humorem.

Warszawa — jeden z mniej znanych punktów globu, choć niby stolica i to milionowa. Dolenc zawsze, od najwcześniejszej młodości lubił dużo i prędko chodzić po swoim mieście. Nie rozglądając się za bardzo — właśnie na pamięć. Warszawa specjalnie się nadaje do takich wędrówek: w miastach zachodnich ogromnie jest gęsto, absorbująco, reklamy, sygnały, neony, lokaliki, wszystko to na wierzchu, to rozprasza i wciąga, choć bezprzedmiotowo. A tu właśnie nie, suche, dalekie perspektywy, zachęcające do marszu, do połykania kilometrów. Zwłaszcza, że nie bardzo byłoby czym jeździć. Owszem, samochodów prywatnych, niebezpiecznie forsujących szybkość pędzi tu sporo, gorzej z autobusami czerwonymi, raczej brudnoczerwonymi. Dolenc nie może

się jakoś w nich połapać, nie ma cierpliwości czekać w tłoku, więc chodzi pieszo. Co najwyżej czasem wsiada w tramwaj, ale ma tu właściwie tylko jedną trasę — z hotelu na Żoliborz lub Bielany i z powrotem.

Zresztą nie spieszył się, po to właśnie się tu znalazł, żeby się wreszcie nie spieszyć. Nie wziął ze sobą wozu, byłoby nieprzyzwoitością przyjeżdżać samochodem tutaj, do siebie, gdzie zawsze chodził pieszo lub jeździł tramwajem. Acha, w czasie okupacji jeszcze riksą — to japońskie słowo błyskawicznie się w słowiańskim kraju zdomowiło. Zabawne! To były swoją drogą niewiarygodne czasy, owa okupacja. Świat zwariował i potem nigdy już nie wrócił do normy. To znaczy polski świat, wschodni świat. Bo tam w Ameryce nie zdawali sobie z niczego sprawy.

Nagle przypomniał sobie Dianę. Dotąd w Warszawie wcale o niej nie pomyślał — prawie trzy tygodnie, to ciekawe. A może jej już nigdy nie zobaczy? Może — właściwie był na to przygotowany, kiedy wyjeżdżał. To zeszkłe liście, po których deptał, idąc aleją wzdłuż Saskiego Ogrodu swym suchym szelestem przypomniały mu ich domek w Georgetown, w Waszyngtonie. Jakże to wszystko dalekie! I nierealne. Jakby minione ćwierć wieku nie miało znaczenia, nie wliczało się do życiorysu. Osobliwe!

Powraca myślą do zakończonej niedawno rozmowy. Rozmówca był trochę nalany, bladawy, bez uśmiechu, ale bardzo uprzejmy. Mówił cichym głosem, powoli, jakby od niechcenia. — Cieszymy się, że pan wrócił. Tak, oczywiście, wiedzieliśmy wszystko, ale to są kwestie zamknięte. To nie moje czasy, my już na tamte rzeczy patrzymy inaczej. Nie ma sprawy, oczywiście, wszystko w porządku. Każdego chętnie widzimy, jeśli zrozumiął, jest lojalny. My mamy czas, Polska Ludowa ma czas, dużo czasu. A tamto, powtarzam, to były zu-

pełnie inne zagadnienia: inny okres, inne stosunki. No i inni ludzie. Oczywiście.

Z tym czasem, to zupełnie podobne do rozmowy poprzedniej, sprzed sześciu tygodni. — Przede wszystkim się nie spiesz, mamy czas, dużo czasu. Im dłużej zostaniesz, tym lepiej! Tak mu mówił po polsku Józio Muzyczek, czyli Joseph A. Murchison, w swym narożnym gabinecie, w pięciokątnym budynku nad dębową aleją. Józio był synem Lwowianina, co przeszedł przez Rosję i armię Andersa, potem został polskim działaczem emigracyjnym w Nowym Świecie. Tymczasem syn trzymał się od tego z daleka, skończył doskonały, renomowany uniwersytet, prawo chyba, i od razu zaczął robić prędką karierę, najpierw w Departamencie Stanu, potem w Pentagonie. Czym jest teraz, trudno wiedzieć, podobno te służby straciły na znaczeniu. Więc może sobie dodawał ważności, perorując tam, przy wielkim biurku na tle jakichś metalowych szaf, sięgających wielu spiętrzonymi segmentami aż do sufitu? Ale coś przecież znaczył, inaczej by się cała sprawa nie zaczęła.

Z okna widok na ciemnozielone, rozfalowane pustkowia cmentarza Arlington — Dolenc lubił ten cmentarz przestronny, pagórkowaty, trawiasty, jakże zupełnie inny w nastroju od polskich. Józio, trzydziestoparolatek zaledwie, szczupły, wysportowany, istny Amerykanin, polszczyznę za to ma świetną, bez śladu akcentu. Tyle, że chyba myśli trochę już inaczej formułował niż Polacy z kraju — byt określa świadomość, jak pisali komuniści.

— Musimy coś o tym wiedzieć, a w gruncie rzeczy nie wiemy nic. Jaki sprzęt, jakie szkolenie, łączność, kto dowodzi i w jakiej formie. Przecież tamci tych spraw nie zostawiają na los — jak to jest z nimi powiązane? Jaka organizacja, jaki stopień zaufania? Jaka łączność? I jakie siły? Nas to musi obchodzić. A nas dwóch jeszcze bardziej — jako Polaków.

— Tylko, broń Boże, niech pan nie chodzi po żadnych koszarach, jednostkach. Ani po fabrykach. Nam nie tego potrzeba. Nam potrzeba ludzkich stosunków, wewnątrz, rozumie pan? Informatorów stałych, zaufanych — im wyżej umieszczonych, tym lepiej. Patriotów polskich, rozumie pan? Ukryci, zamaskowani, ale muszą tam być. Pan potrafi do nich dotrzeć, pan ma duże doświadczenie z konspiracji antyniemieckiej. Ojciec mówił mi...

— To jest akcja długofalowa, rok się nie liczy, ani dwa ani trzy. My mamy czas, my działamy dla przyszłości. Pan jedzie na długo, tak? Im dłużej, tym lepiej. Pieniądze nie grają roli. Acha, nie chce pan pieniędzy? No tak. Można to będzie załatwić inaczej... Dobrze — tej sprawy na razie nie poruszamy.

— Tylko proszę się tam z nikim z Amerykanów nie kontaktować, w żadnym wypadku. I absolutnie nie zbliżać się do ambasady! Oni nic nie wiedzą i nie będą wiedzieć — to jest zupełnie co innego. Zresztą kontakt z ambasadą sam się do pana zgłosi, nie ma zmartwienia. Pan jest wolny człowiek, pan przyjedzie. Żadnego pisanie, żadnych interesów. W razie wyjątkowego niebezpieczeństwa... Proszę zatrzymać to... Sprawy rodzinne? Nie pytamy o nie. I w ogóle o nic. Chcemy coś wiedzieć o najważniejszym: jak Polacy są powiązani z Tymtymi. Wojskowo — czysto wojskowo. Nic innego się dla nas nie liczy!

— Tej rozmowy nie było, pan mnie nie zna, zresztą pan naprawdę nic o mnie nie wie — ojciec też nie. Miss Diana? Nie interesujemy się niczym, żadnych komplikacji tutaj. Tej sprawy nie ma.

— Katastrofy też nie ma, być nie może, bo rzecz jest najprostsza, bez żadnych kontaktów. Takiej rzeczy nie da się uchwycić. W razie czego jesteś przecież amerykańskim obywatelem. Podwójne obywatelstwo dla nas się nie liczy. Będziemy bronić przed szykanami,

oczywiście. Jak każdego... Te dwa słowa zapamiętać... Tylko aby nie zapisywać.

— Acha, sprawa konkretna. Na początek zamieszka pan w Warszawie w hotelu „Forum”. Oni mają rezerwację *Intercontinentalu* — załatwi pan przez każde biuro. A potem jak pan chce — najlepiej prywatnie.

— Pełne zaufanie i dużo czasu. Znamy pana, wiemy o wojnie, potem o Meksyku. Wszystko jest *o'kay!* *o'kay!* Polska to jest wielka rzecz. My dwaj, choć z innych pokoleń, wiemy to dobrze. Nieprawdaż, Francis?

Tyle mniej więcej, plus owe dwa słowa, Dolenc spał z rozmowy — jednej jedynej, jaką mieli w betonowym, pięciokątnym „bunkrze”. Właściwie to znał tamtego bardzo mało, raz na parę lat może widywał go u starszego Muzyczka. A teraz do niczego się przecież nie zobowiązał, prawie w ogóle nie odpowiedział. Ale w „Forum” zamieszkał, co mu szkodzi. Trzydziestopiętrowy, przez Szwedów niedawno wybudowany hotel o oliwkowo-brązowych tynkach. Dolenc tkwił na dwudziestym piątym piętrze, pejzaż przestrzenny, nad skrzyżowaniem Marszałkowskiej i Jerozolimskich, samo centrum, z balkonu widać i sowiecki pałac i przeciwległe magazyny Ściany Wschodniej. Zresztą dużo „w domu” nie siedzi — chodzi po mieście, na nowo przecież uczy się miasta. To było miłe, a czasu nie brakło, czas się rozciągnął, zmienił wymiar.

Znajomych nie miał — poza hotelową obsługą. Zaś starych, tamtych znajomych jeszcze nie szuka. Nie spieszyć się, to teraz i jego dewiza. Parę nazwisk znalazł w książce telefonicznej, zapamiętał adresy. Ale ciągle czekał i odkładał: to przecież jakaś komfortowa sytuacja, że on tu już jest a oni jeszcze nie wiedzą. W tłumie ulicznym wypatrywał dawnych ludzi, ale prawie ich nie było. Prawie, bo czasem jakaś twarz czy sylwetka wy-

daje mu się nagle czymś znajoma. Znajoma forma, kształt, ale z bliska co innego, zupełnie nie to. Choć? Oni też chwilę mu się przyglądali, po czym odwracali się obojętnie. Więc może jednak? Dwadzieścia pięć lat, ćwierć wieku! A jak wygląda teraz Irena? Jeśli w ogóle żyje — chociaż chyba tak, miał przecież o niej informacje. Tu wszyscy, na przekór powstaniu i Stalinowi, przyczepili się do życia. I weszli w nową Warszawę, podczas gdy on siedział w Meksyku i w Stanach. Ale wrócił z pieniędzmi, i to z grubymi na tamtejsze stosunki. Jak hrabia Monte Christo...

Wychodzi zawsze z hotelowego hallu wyjściem na Marszałkowską, dla ludzi bez samochodów. Z tej strony do nieskończenie wspiętej w niebo, smukłej, oliwkowej sylwetki hotelu przylepiona jest jakby wielka weranda pod złotawo żółtym daszkiem — to właśnie hala recepcyjna, kioski, bar. Dolenc lubi tę salę, przestrzenią, niską, oświetloną tkwiącymi w otworach sufitu lampami, z ciemną boazerią hotelowej recepcji i kasy. Pośrodku i z boków sali wygodne, klubowe fotele, okrągłe blaty marmurowych stolików, nad nimi wielkie żyrandole w kształcie szyszek, rzucające ciepłe, złociste światło na bazaltową posadzkę i czerwone dywany. Przy ścianie niewielki telewizor, obserwowany przez ludzi w fotelach, podświetlone plakaty z polskimi pejzażami, kolorowe kioski z kwiatami, z dewizowym alkoholem, wszędzie angielskie napisy, herby, emblematy, reklamki, w środku alpinarium z agawami — ładnie to jest urządzone, niby światowo ale i polsko. Dolenc uchwycił szybko ten wdzięk, także zalety kafeterii „Maryla”, jasnozłotawej z czerwonymi nakryciami, gdzie jada czasem, obsługiwany przez pełne zrozumienia kelnerki. Zrozumienia dla jego sytuacji, że nie Polak ale Polak, że z Warszawy, ale nie z tej, z innej, no i w końcu że z Ameryki, czego się zatrzeć nie da, choć mówi przecież bez akcentu. Ale oni wiedzieli wszystko, wiedzieli

portierzy, szatniarze, windziarze, kelnerzy, kelnerki, pokojowe i wymalowane panie w zielonym oszklonym barze, do którego wchodziło się z rogu sali recepcyjnej. Wiedzą wszystko, ale jakie wszystko? Przecież wszystkiego nawet sam Dolenc jeszcze nie wie.

Opuszczając hotel owym werandowym wyjściem na Marszałkowską, Dolenc pogrążał się w tę dziwną Warszawę. Tu było centrum, przeszklone, geometryczne pudła, drapiące swymi dachami niebo — naprzeciw hotel Metropol z kawiarnią na piętrze, po prawej za Alejami ogromny, szklany prostokąt Uniwersалу, dalej magazyny Ściany Wschodniej, a za sowieckim pałacem trzy wysokościowce mieszkalne z neonami reklam mało potrzebnych. Zaś w perspektywie Alej Jerozolimskich dwa gigantyczne, szczupłe szkielety budujących się zagranicznych wieżowców. U ich stóp pofalowany strop nowego dworca, przejścia podziemne, zawiłe aleje i platformy. Jak wyjeżdżał nie było tu jeszcze pałacu ani dworca, ani Ściany Wschodniej, Plac Defilad stanowił bezkształtną kombinację ruin, przetkaną barakami budowlanych, nadzianą dźwigami, płataniną kabli, rur, drutów, cementowych filarów, napchanych ziemią ciężarówek. Czwierć wieku minęło i oto wszystko się jakoś wyklarowało, stężało w nową, nieoczekiwaną Warszawę, której podniebne szare ściany obserwowane ze szczytów hotelu rysują się osobliwie na tle podświetlonego złota, zmierzchającego nieba wczesnej jesieni. Warszawa nieznana, ale czy przeczuwana, czy taka miała być, już wtedy? I co ją łączy z dawną Warszawą, nie komunistyczną, potem okupacyjną, potem zburzoną i parterową? Gdzie tamci ludzie i tamte sprawy, jaki pozostawili ślad? I gdzie go szukać?

Dolenc niby nie myślał o tym, ale to w nim było, pracowało samo, bez jego współudziału. Nie przyspiesza tego, ale i nie przeszkadza, ma przecież czas. Żyje automatycznie, dziwi się temu życiu, ale bez przykrości.

Nagle istnienie bez Diany i jej zrodzonej po dziesięciu latach obcości, bez amerykańskich spraw i tamtejszego sposobu bycia. Wróci do niego, do tego stylu, musi przecież wrócić, cudów nie ma. Ale na razie ma czas — wiele miesięcy czasu. To znaczy, jeśli przedłużą mu trzymiesięczną wizę — a wszakże powolny człowiek z tutejszego Wydziału obiecał mu to z góry. — Nie ma sprawy — powiedział i przewidywał od razu, że Dolenc zostanie na dłużej. Rok się nie liczy, ani dwa, ani trzy... Nie, to przecież powiedział tamten, w Waszyngtonie! Ciekawe — i ten i tamten liczą na lata, tymczasem tu chodziło o miesiące. Im się nie spieszy, a Dolencowi?

Sam nie wie, poza tym, jak właściwie miałyby wyglądać powrót do Diany? A jak będzie wyglądać spotkanie z ludźmi z Warszawy? I następna wizyta u spokojnego człowieka w tutejszym Urzędzie? Czy można niczego nie planować, czy można czekać? Przecież życie się toczy, choć niby poza nim.

— Masz pan jakieś dewizy na zbyciu? — zapytał go nagle ktoś przyciszonym, mruczącym basem. — Ja wezmę każdą sumę, możemy zaraz załatwić.

Dziwne. To mówił gruby szatniarz ze złotymi zębami w kawiarni Metropolu, naprzeciwko Forum. Dolenc chodził tu na pięterko, na kawę. Czasem siadywał przy przejściu na taras obserwując ślimakowaty ruch na pobliskim Rondzie, czasem w środku podłużnej sali, poprzegradzanej prostokątnymi filarami. Pełno tu jest zawsze młodych Algierczyków, Tunezyjczyków, przeróżnych Arabów i Murzynów — cóż za wyspa w słowiańskiej zgrzebności. Zabierają się do dziewczyn, mocno wymalowanych, z wydatnymi biustami, w dżinsach i białych bluzkach. Przysiadali się do nich, długo celebrowano palenie papierosów, sondowano się wzajemnie nie patrząc, żując gumę, potem wychodzą nie razem ale jednak razem, po dwóch chłopców, dwie dziewczyny, idą pewno do hotelu, jak to się właściwie wszystko dalej

odbywa? Dolenc lubił obserwować te dziewczyny, niby zamerykanizowane, zmodernizowane, a przecież Warszawianki, miłe psie pyszczki, uważne oczy — te same co w Powstaniu, zręczne, rzeczowe... Te same a inne — cóż to za heca...

Ten szatniarz musiał go „przyuważyć”, poobserwować, wyczekał do momentu i oto proponuje. Pohandlujemy — czemu nie? Zwłaszcza, że Dolenc już coś rozumie ze swych finansowych obowiązków wobec Polski Ludowej czyli PRL. Kilkanaście dolarów dziennie musi wymieniać w kasie hotelu po śmiesznie niskim kursie, zwanym turystycznym, płacąc przy tym w dolarach za hotel. Ale z resztą swych pieniędzy może robić co chce, nie wszystko zresztą zadeklarował przy wjeździe — miał na to swój sposób. Proponowany kurs prywatny czyli, jak kiedyś mówiono, czarnogiełdowy, jest obecnie pięć i pół raza większy od tamtego, oficjalnego. Czemużby nie, jeśli to się komuś opłaca, a karalne najwidoczniej nie jest — w każdym razie strachu przed karą nie widać. Dolencowi zaś rzecz właśnie opłaca się ogromnie, przy dosyć tutaj dziwnych relacjach cen wobec dolara. W okupacji i po wojnie warszawski dolar był zawsze walutą obiegową i najwyższą. To „zawsze” obowiązuje najwyraźniej i dziś, choć dwadzieścia pięć lat minęło niepostrzeżenie.

Po paru transakcjach z zaprzyjaźnionym już teraz grubym szatniarzem Dolenc poczuł się zamożny, w ogóle finansowo całkiem niezależny. To zwiększyło jeszcze ową niespodziewaną osobliwość bytowania w „Forum”, jakby życie poza życiem, unoszenie się poza prawem ciężenia. W dodatku mieszka tak wysoko, on, kiedyś obywatel powojennej, parterowej Warszawy. Warszawy ruin.

Pokój jest niewielki, zielony, z podwójnym tapczanem, fotelami, radiem i wygodną szafą w ścianie. Duże lustro, łazienka też lustrzana. Zieloność dywanu i na-

rzuty na tapczan ładnie kontrastują z brązowo wyłożonymi korytarzami, koloru jasnej czekolady. Za to drzwi od pokoi są ciemnobrązowe, a od windy — jaskrawożółte. Przy wejściu do wind korytarz prostokątnie rozszerzony i dwa ogromne, podłużne okna z obu stron — widok na zachód i wschód, na niebo i miasto. Duży luksus takiego warszawskiego, nieoczekiwanego pejzażu, a tu mało kto z tego luksusu korzysta: ludzie, przeważnie cudzoziemcy, spieszyli rzeczowo do dwóch przeciwległych szeregów szybkiebieżnych wind, zwanych teraz w Warszawie dźwigami. Korzystał tylko Dolenc — przepuszczał swą kolejkę, zostawał samotnie przy oknach i patrzył — nie mógł się napatrzeć.

II. ŻYCIE ZACZYNA SIĘ PO PIĘĆDZIESIĄTCE

Patrzeć zresztą można i z pokoju, jest tam przecież szerokie, choć niższe, nie na całą ścianę, okno, szkoda że tylko w kierunku zachodnim, prowadzące na zamknięty, wąski balkonik, coś w rodzaju odgrozonego gzymsu — kręci się tu trochę w głowie. Od wczesnego popołudnia patrzy się przez okno prosto w słońce, jesienne, ale jeszcze z blaskiem, gdy, coraz bardziej czerwone, przetacza się po niebie ku zachodowi, rzucając teatralnie krwawe promienie na szeroki, szary pejzaż miejski aż po horyzont. Przed sobą Dolenc ma dwa istne drapacze chmur, wysokościowce smukłe, sięgające naprawdę pod obłoki. Długa, gubiąca się w dali linia Alej Jerozolimskich oddziela te niebotyczne miejskie drabiny niedokończonych biurowców od strony prawej, gdzie wśród labiryntu alejek szarzeje ogrom Pałacu Kultury. Skąd takie pejzaże dziwaczne i nieoczekiwane? Tajemnica! — Tu jest całkiem inaczej, wszystko tamto, co minęło, okazało się niepotrzebne — myśli Dolenc. Powstało zupełnie inne miasto, na górze trupów — jak gdyby nigdy nic. Wtedy myśleli, że Warszawa jest sercem i sumieniem świata, że jest najważniejsza, skoro tu się zaczęła wojna. Tymczasem świat nic o tym nie wiedział, może to było złudzenie? Świat do dzisiaj nic nie wie — poszedł swoją drogą. Pewno zawsze tak się

dzieje, gdy przepada zbiorowisko, wielogłowy świadek wydarzeń.

Dolenc decyduje, że trzeba wreszcie zacząć coś robić. Za długo już trwa ten nagły urlop. Ćwierć wieku pracował, w Meksyku jak furiat, a w Stanach gwałtownie i metodycznie zarazem, jak wszyscy — tam bez pracy nie ma co ze sobą począć. Trzeba więc...

I nagle samo się to stało, kontakty z ludźmi, spotkania. Chyba jednocześnie bowiem zaczęło się z ową Mariolą, osobliwym posłem nowej Warszawy, i spotkał Norcia — wręcz niebywałą pamiątkę ze starej. Nie prowadził notatek w kalendarzyku, więc związek czasowy między tymi dwoma wydarzeniami nie wydaje mu się teraz jasny. Ale na pewno Mariola przysłała troszkę wcześniej, gdy spotkał Norcia miał już zaplecze, nie był tak samotny, jak przedtem.

Kiedy się z nią zaczęło? Ten początek najtrudniej było odtworzyć, bo wtedy, gdy rzecz jeszcze nie miała znaczenia, ani czas się nie liczył, ani drobne okoliczności, najpierw przypadkowe, bez oblicza, potem nabierające wagi, gdy się je chce przypomnieć, posegregować. Niełatwe to, choć przecież mózg gdzieś tam je zarejestrował — mózg rejestruje wszystko, tylko że nie wiadomo dla kogo to robi.

Więc na pewno z Mariolą poznali się w owym zielonym, narożnym barze, gdzie wpadał o różnych porach na szklankę soku. Siedziały tam często jakieś panie, przystojne, samotne a bardzo poważne: nie patrzyły niby na nikogo, choć widziały wszystko i wszystkich, to było oczywiste. Ale skąd znajomość z nią? Musieli się już dobrze parę razy spotkać, może wymienili ukłony? Pamiętał, że zawsze uparczywie siedziała sama, co nawet trochę go zdziwiło. I wtedy właśnie, gdy szedł na obiad do kafeterii kokieterijnie nazwanej „Maryla”, tej złotawoczerwonej: — Przepraszam, czy mogłabym z panem wejść, ja panu nie przeszkodzę — takie niespodzie-

wane usłyszał słowa. Ani się obejrzał czy namyślił, kiedy już wchodzili razem na salę, witani zdziwionymi spojrzeniami kierowniczką i kelnerką. Nie było to zdziwienie nazbyt miłe, widocznie Mariolę już tu znano.

Chciała wejść z Dolencem, bo tutaj samotnych pań nie lubiano. Zwłaszcza bardzo przystojnych i doskonale ubranych Polek, a taka jest Mariola: olśniewające blond włosy, ciemne oczy, plisowana spódnica i śnieżnej białości golf uwypuklający wspaniałe piersi. Siedzą oto oboje przy stoliku pod ścianą, dość daleko od siebie, lecz kelnerki i tak wyraźnie są zgorzzone. Dolenc widział parokrotnie, jak wypraszano stąd niektóre panie, kelnerki to pracowite i porządne dziewczyny, cenią swą pracę i nie chcą mieć tutaj zakłóceń. Nawet owi młodzi Arabowie stronili od kafeterii „Maryla”, choć mieli przecież dowoli zagranicznych pieniędzy. Ci Arabowie, jak powiedział Dolencowi gruby szatniarz z „Metropolu”, przybywali tu z Berlina Zachodniego przez Wschodni — mogli wjeżdżać bez wiz a za to zbrojni w zachodnią walutę. No i dziewczyny, zwane „arabeskami”, były dla nich, aby tylko nie w „Maryli”, bo tu lepsza socjeta, dyplomatyczno-handlowa z hotelu „Forum”.

Zwyczajne zaś, jawne prostytutki widzi się w Warszawie przed hotelem „Polonia”, bardzo zresztą niedawno szwedzkiego „Forum”. „Polonia” to stary, przedwojenny hotel, pięciopiętrowy, szeroko rozsiadły — prawdziwy cud, że ocalał. W ogóle odcinek Alej Jerozolimskich od Marszałkowskiej do Emilii Plater to rezerwat dawnej Warszawy, o jakiej Dolenc już dawno zapominał. Po lewej, południowej stronie zachował się tu szereg — niedługi zresztą — przedwojennych kamienic, w środku stęchłych i podgniłych, na zewnątrz efektownych. A u ich stóp, jakby uwarunkowane charakterem miejsca, przewijały się wieczorem ostentacyjne prostytutki, starawe, zniszczone, często pijane, a po bramach czatowali jacyś ich protektorzy — wszystko jak z policyjnych

sprawozdań w przedwojennym wielkim mieście. W burżuazyjnej Polsce, mieszczańskiej, jak tu teraz mówiono. Ale któż by się połakomił na takie brzydactwa, zwłaszcza wobec tylu ślicznych dziewczyn, owych arabesek, polujących na dewizowych Algierczyków czy Tunezyjczyków w niedalekim „Metropolu”, tuż za rogiem? „Metropol” nowoczesny, „Polonia” staroświecka, a za dolara dają teraz 150 złotych — niebywałe. Na Czarnym Rynku, jak tu mówiono, kiedyś nazywano rzecz Czarną Giełdą, dziś nikt tu nie wie, co to giełda. Więc dziewczęta, które wtedy szły do Powstania, teraz dają swoje ciało za pieniądze — egzotycznym Afrykanom. Oburzać się? Nie — skąd. To jest aż za normalne, nawet niespodziewane, bo wręcz kapitalistyczne. W sowieckiej Polsce, kto by się spodziewał...

Ale w „Forum” Dolenc żadnych dziewczynek nie widział, ani takich, ani owakich, pijanych ostentacyjnie, czy dewizówek, eleganckich, dystyngowanie polujących na cudzoziemców, jak w dawnych filmach Marleny Dietrich. Chociaż na pewno były: może właśnie te samotne w zielonym, narożnym barze, te, co je wypraszano z kafeterii. A teraz...

A teraz ni stąd ni zowąd Dolenc siedzi z Mariolą przy obiedzie i myśli, że dał się upolować. Łowy na starszego pana z dolarami udały się z zabawną łatwością. Choć Mariola niczego na razie nie chce. Je skromnie, popija sokiem pomidorowym, płacić za siebie nie pozwala, podsuwa mu delikatnie dwa banknoty, wyjęte z przeszlicznej, na pewno bardzo drogiej torebki. Istna dama.

Zresztą Dolenc wcale nie wie, że Mariola jest Mariolą, dowie się o tym dopiero przy pożegnaniu. Przy jedzeniu rozmawiali zdawkowo, tak powściągliwie, że nawet kierowniczka sali, obserwując ich nieufnie z daleka, nie mogła chyba niczego mieć za złe. Ani zadąsana nieco, lecz nadal staranna kelnerka. Nie ma kiedy za-

pytać o imię. — Dziękuję, jestem Mariola — mówi mu nagle żegnając się w hallu, przy kiosku z kwiatami. I już jej nie ma, może tu takie ostrożne obyczaje? Dolenc dosyć zdezorientowany idzie do windy w grupie rozgadanych Niemców. Mariola — pretensjonalne kiedyś imię, pewno teraz w Warszawie modne? Dolenc myśli po polsku, zawsze myślał po polsku, gdy nie rozmawiał ze swymi Amerykanami, lub w Meksyku po hiszpańsku. Ale boi się, czy nie stracił wyczucia warszawskiej mowy — tu zawsze były inne, własne odcienie języka.

Mariola oczywiście niedługo znów się znalazła. I w zielonym barze i na obiedzie. I jeszcze raz na obiedzie, kiedy wreszcie Dolenc za nią zapłacił. Są już znajomymi, więc ona się zgadza z drobnym grymasem, ale w dalszym ciągu niczego innego od niego nie chce. Dolenc poważnie zaczyna się zastanawiać, czy to przypadkiem nie ów powolny Rozmówca z Wydziału nastął ją na niego. Musieli go obserwować, mimo zapewnień, że „nie ma sprawy”. To jasne.

I tu na dobre zamyśla się, czując wreszcie przyjemny dreszczyk podniecenia. Coś się dzieje, coś się dzieć zaczyna, znowu w Warszawie. A więc on nie jest do niczego, nie jest poza grą, ktoś się nim zajmuje, ktoś go śledzi. Choć jeszcze nie wiedzą, że dostał misję w Waszyngtonie. Nie odmówił przecież, więc...

— Kwaśny, czołem, cześć! Wiedziałem, że tu gdzieś jesteś, że się czaisz! Mnie nie nabierzesz, ja wszystko wiem. Cześć Kwaśny, cześć...

Ten głos... Jakiż to głos wyrывa go z prawdziwego, najprawdziwszego zamyślenia? Rzadko się tak zamyślamy i wtedy akurat nas zaskakują, przyłapują. Ale ten głos? Najostatniejszy na świecie, jakiego by się spodziewał! A przecież nie można mieć wątpliwości, do kogo należy — choćby tonął w przeszłości tak dawnej, aż nierealnej, to jednak z niej wychynał — w biały dzień.

— Serwus Norciu, to naprawdę ja! Ale tamten nie oddaje inicjatywy. — Cały czas wiedziałem. I oni wszyscy też wiedzieli. Byli tutaj cały czas, przez te wszystkie lata. I są ciągle, teraz już nie tutaj, gdzie indziej. Ale to miejsce tutaj pamiętasz, Kwaśny. Co? Pamiętasz, co tu było za rogiem, na Mazowieckiej, na miejscu tej kamienicy właśnie?

Czy pamięta? Tu był lokal „Za Kotarą”, ich największy wyczyn przed Powstaniem, akcja „nadana” przez Norcia właśnie. Kwaśny to on, jego pseudo z kontrwywiadu KA, z Krajowej Armii. Jest więc jeszcze sobą, ktoś go pamięta i to kto?! Norcio Buczański, Norbert — nazwisko samo mu wymyślili, kiedy uciekł z getta. Potem wracał tam wielokrotnie z różnymi funkcjami i od Komitetu Żydów, co miał kontakt z nimi i z Londynem. Wielkanocna akcja Niemców w resztkę getta, żydowskie powstanie, potem znów Warszawa „po aryjskiej stronie”. Akcja „Za Kotarą”, na lokal Staszauera („Niech jeden chociaż Żyd zginie sprawiedliwie” — powiedział wtedy Norcio). Acha, jeszcze akcja na baronównę Kronenberg, która sypnęła ukrywającego się starego bankiera Wertheima, a on, na straszliwych torturach, wydał gestapowcom kryjówkę swoich dwóch synów. Ją też nadał Norcio, a zlikwidowali ją również niedaleko Mazowieckiej. To była czysta sprawa, podczas gdy „Za Kotarą” wzbudziła dyskusje — nawet potem, na emigracji. Ale podchorąży Kwaśny dostał za akcję Virtuti. Na razie bez rozgłosu.

Potem przyszło Powstanie, potem Ruscy — i straszne kłopoty z organizacją. W komunistycznej Polsce mało Norberta widywał, choć słyszał, że przeżył. Nie wiedział, jak się tamten zachowa — zresztą jego prawo. A teraz stoją na dawnym placu Napoleona, przy rogu Mazowieckiej, domy całkiem nowe, ale tu gdzieś była artystyczna „Aria”, a dalej właśnie „Za Kotarą” — ich przebój. A na miejscu Poczty Głównej stoi jakiś dzi-

wacny, trumienny i czarny bank. Tylko przedwojenny drapacz „Prudenciału” w normie — ocalony. Dziś hotel „Warszawa”.

Okupacyjne koleje losu pamięta się dokładnie, to czasy klasyczne, za to perypetie z organizacją już w komunie, raczej słabo, zawile. Ale Norcio też mówi o okupacji, Norcio z siwą bródką, jakąś rozwichrzoną lecz i podskubaną. Norcio stary, zmieniony lecz autentyczny, oczy czarne, zapadnięte iskrzą się, łyskają czy to ponuro czy ironicznie? Norcio w jakimś kusym kubraku, choć przecież ciepło, Norcio egzotyczny tutaj. A więc nie opuścił Warszawy? Niespodzianka.

— Norciu, mnie tu nie było długie lata.

— Byłeś, byłeś, ja wiem wszystko. I oni wiedzą, oni też byli cały czas.

— Jacy oni?

— Oni, Żydzi. To nie wiesz?

— Czego nie wiem?

— Oni byli tu cały czas — pod ziemią. I podczas Powstania i potem. Oni nie wyszli z Warszawy ze wszystkimi, nie musieli. Byli tu potem cały czas, nie wierz, jak ci kto mówi, że nie ma w Warszawie Żydów. Ty też byłeś cały czas.

— Ależ ja wyjeżdżałem...

— Ale jesteś, jesteś tutaj. Nie kłóćmy się, Kwaśny, ja wiem swoje. Mnie nie musisz się bać, Żyd to swój człowiek. Dzisiaj, he, he...

Coś tu nie grało. A raczej grało jak najwyraźniej: Norcio zwariował. Poprzestawiało mu się w mózgu, zresztą były powody.

Czy to tego właśnie dnia zaczęło się na dobre z Mariolą, czy następnego? Dolencowi, czyli Kwaśnemu, też się poprzestawiało w głowie, gdy oto spadło nagle bogactwo niezwykle — sprawy ruszyły z miejsca: romans z Mariolą, wizyta u Norcia.

Bo zaraz poszli na herbatę do Norcia. Mieszkał tu,

na Mazowieckiej, akurat w miejscu, gdzie mogło się mieścić „Za Kotarą”. W topograficznym miejscu oczywiście. Gdyż rzecz ciekawa: stał tu, po zachodniej stronie ulicy Mazowieckiej, cały ciąg domów zupełnie nowych i bez wyrazu, choć niby trochę zmonumentalizowanych — „jak sobie mały Moryc wyobraża” przedwojenną Mazowiecką. A od tyłu są podwórza, a raczej asfaltowe dziedzińce. Właściwie jeden wspólny, długi dziedziniec, wzdłuż całej ulicy z wylotami bram tylko. Wszystko nowe, całkiem inne niż kiedyś, nawet jednego starego kamienia tu nie ma. A jednak Norcio wynalazł sobie jakąś niepozorną ni to przybudówkę ni to oficynkę o poszczerbionych już kamiennych schodach, gdzie jest ciemno, brudno, śmierdzi kotami. Coś starego, coś warszawskiego, fantastyczne, nieoczekiwane.

Z Mariolą też było fantastycznie i niespodziewanie, jak to z nią. Zjedli obiad późno, już się mocno zmierzchało, gdy wyszli na Marszałkowską, przed hotel i gdy zapalono neony. Powściągliwe, socjalistyczne, ale Dolenc je lubi, bo są odmienne i właściwie bezinteresowne, tu przecież żadnej reklamy nie potrzeba — wystarczyło obejrzeć telewizję, gdzie długie minuty nic się nie dzieje, jest przerwa. Minuty w Stanach kosztowne, oceniane na setki tysięcy dolarów, po tej stronie świata płynęły sobie niespiesznie — ciekawa różnica.

Neony na Marszałkowskiej, w ciepłym i miękkim mroku wczesnej jesieni, unoszą się w powietrzu naprzeciw hotelu „Forum”, czerwone i złociste, niektóre ruchome, inne jakby zawieszone w próżni. Ładnie wychodzą, bo jest ich mało, więc żyją trwając osobno, indywidualnie. Od prawej do lewej świecą na niebie: „Metropol”, „Orbis”, trochę niżej „Cepelia”, potem bank „PKO”, „Moda Polska”. Dolenc zna je na pamięć, ale patrzeć lubi, zwłaszcza, gdy wieczór pogodny jest jak dzisiaj. No i służy jeszcze wielki, napowietrzny zegar, zawieszony nad hotelem „Metropol”.

Patrzą razem z Mariolą, stojąc przed hotelem i nie mieszając się ze spieszącą do podziemnego przejścia cizbą. I nagle Mariola pyta cicho, od niechcienia: — Na którym piętrze pan mieszka? — Na dwudziestym piątym, to jego równie cicha odpowiedź. — Nigdy nie byłam tak wysoko — mówi ona.

To powiedzenie ma dwa podteksty: że na innych piętrach to już bywała, i że na to bardzo wysokie ma ochotę. Dolenc korzysta z okazji, ze skwapliwością dla samego siebie mało zrozumiałą, nadmienia oto, że można by przecież wpaść na górę, napić się czegoś i obejrzeć widok. Ona potwierdza lekkim skinieniem głowy i zaraz zgodnie zwracają ku wielkim szklanym drzwiom hotelu, kierując się w stronę dźwigów, gdzie, jak zawsze, kłębi się zajęty sobą, cudzoziemski tłumek. Dolenc ściska aż w gardle z wrażenia. Skąd właściwie ta emocja wobec zwykłej „*call girl*” po warszawsku, jaką się Mariola w tym momencie okazuje? Pewno z wieku i niepewności siebie, myśli Dolenc.

W pokoju zielonawo, czerwona poświata neonów, a za oknem wręcz bezkresne morze świateł Warszawy — mnogość pudełkowatych świetlistych sześcianów, piętrzących się aż po horyzont. Ona nie pozwala zapalić światła, pić niczego też nie zamierza. Milcząca staje przy oknie, kontemplując przestrzenny pejzaż. Dolenc stoi koło niej, po chwili obejmuje ją wpół i czuje jakby uderzenie prądu elektrycznego, bijące od niej.

Nie wiadomo jak i kiedy znajdują się oboje na niezaścielonym tapczanie. Mariola rozbiera się powoli, z imponującym spokojem układając na krześle kolejne elementy, golf, spódnicę, pończochy, bieliznę. Dolenc usiłuje naśladować ją w tym spokoju, ale idzie mu nie tak zręcznie. Potem długo pieści i całuje jej wspaniałe ciało, odsłonięte bez żadnych tajemnic, mieniające się teraz odcieniami kolorowych neonów. Wreszcie, sprężony do ostateczności wchodzi w nią, nie wiedząc, czy przed-

wcześnie, niepewny, co ona czuje i myśli, poza maską zawodowej uległości. Lecz w momencie decydującym ciałem jej przebiega dreszcz. Opuszczając ją Dolenc wpatra się w jej twarz: oczy ma zamknięte, usta zaciśnięte, nieskora już do pocałunków, oddycha ciężko. Przeżyła swój wstrząs, choć jakby osobno.

Długo leżą bez słowa, to co było odpływa w zieloną poświatę pokoju, w daleki uliczny szum i gwar. — Opowiedz mi coś o sobie — mówi nagle leniwie Mariola. — Przyjeżdżasz z Ameryki, jak to właściwie jest w tej Ameryce?

Dolenc coś tam opowiada, zdawkowo, nie pamięta co, ona słucha bez słowa, długo. Potem idzie naga do łazienki, wraca, ubiera się powoli, starannie, bez najmniejszego skrępowania. Pieniędzy nie chce, w dodatku zagranicznych: i tak płacisz za mnie obiady, mówi. Wychodzi sama, nie dając się odprowadzić, bo „to będzie lepiej”, jak zauważa dość znacząco. Nie umawiają się, i tak wszakże wiadomo, że ostatnio widują się niemal codziennie.

III. STARE ŚLADY NA NOWEJ MAPIE

Więc życie się zaczęło, choć pracy nie ma. Dolenc parę już razy odwiedził Norcia w różnych porach dnia — imponuje mu, że on, Amerykanin, ma w Warszawie prywatną metę. Bo hotel podkreślał tylko jego tu obecność, wyjątkowość, jego, który niegdyś czuł się w Warszawie jak jakiś szybki, czujny zwierz w swojej dżungli. Chociaż bowiem w czasie okupacji Warszawa była dżunglą straszliwą, ale w swych typowych przejawach znaną. Powstanie, to z kolei sen, krwawy, ale na swój sposób wspaniały — konfrontacja ze wszystkim, czym żyli w czasie okupacji, oni, młodzi warszawcy kolumbowie, jak ich potem nazwano za pewnym literatem — Dolenc znał go chyba. I dopiero później, Warszawa zburzona, odżywająca, parterowa, objęta już przez komunistów, zaczęła być coraz bardziej tajemnicza. „Kwaśny” z Grupy „N” Kontrwywiadu KA czuł się tu coraz gorzej, zdeorientowany i spętany, choć brał udział w powojennej akcji Pułkownika „Rejenta”, a potem jeszcze jego samowolnego chyba następcy „Sapera”. Londyn wtedy już sprawy nie popierał, zresztą nie było co popierać. Komuniści zmienili tu życie, zdeorientowali najprzyczyniejszych ludzi, a przy tym zadanie mieli ułatwione — Hitler im wszystko przygotował, później Powstanie oczyściło teren, zostawiło pustynię. Nowa Warszawa sta-

wała się teraz coraz mniej przejrzysta, coraz mniej jasna i swoja, coraz dziwniejsza. Teraz Dolenc nie włączał się w powojenne życie, „Kwaśny” nie chciał pracować jak niewolnik dla nowych panów. Utrzymał się w tajnej robocie zadziwiająco długo, wszystkich zamykali, wykonywano wyroki śmierci, przyjaciele sypali — a on wciąż się wywijał. Ale wydawał się już wtedy ludziom obcy, bali się go — jak poczuł, że dalej nie sposób, w początkach 51-go zerwał wszystko i cudem, szczęśliwie przysnął. Chcieli go tam wziąć do wywiadu, pamiętał długie dyskusje z Amerykanami w Niemczech, ale on nie chciał, miał już dosyć, nie wierzył. Wziął forszę i oparł się aż w Meksyku. Dziesięć lat Meksyku, piętnaście Stanów, Diana i dopiero teraz ten Muzyczek — Murchison, rozmowa. I wyjazd po ćwierćwieczu do swojej Warszawy. Swojej? Nonsens, żarty — do dziwnej Warszawy. Ryzyko? Niewielkie. Lata wszak minęły, obywatelstwo, amnestia, przedawnienie — flegmatyczny człowiek na placu Bankowym, czyli dziś Dzierżyńskiego, uspokoił go wszakże. Ale ryzyko było inne: że całkiem już nie zrozumie tej nowej Warszawy, pogubi się i zostanie bez niczego: ani tu, ani tam.

W ciągu ostatnich tygodni przed spotkaniem Marioli przykładał się wszakże pilnie do poznawania miasta. A specjalnie pewnego wycinka miasta, prostokąta o bokach: Marchlewskiego, Świętokrzyska, Bracka, Krucza i powiedzmy — Wilcza, bo dalej, na południe mało się zapuszczał. Słowem coś w rodzaju centrum wolnej Warszawy z Powstania, tyle że wtedy przegradzały ją Aleje Jerozolimskie, na których Niemcy panowali kierowanym od wschodu przelotowym ogniem. Przebiegało się więc przez założony workami uliczny wykop tędy właśnie, niedaleko obecnego „Forum”, tyle że bardziej na zachód, bo Marszałkowską dziś poszerzono. Ale po drugiej stronie było się znów u siebie. A teraz?

Warszawski Manhattan, dziwny, bardzo dziwny.

Prymitywny zresztą, po amerykańskiej technice, organizacji życia — ale nie o to szło. Na nędzę Dolenc był przygotowany, tymczasem raczej jej nie znalazł, mimo dziwacznej niewygody i niepraktyczności publicznych urządzeń, niechlujstwa barów, ponad miarę obrzydliwego jedzenia — oczywiście nie w hotelu „Forum”. Toć kiedyś, w zburzonej, parterowej Warszawie publika jadła lepiej niż obecnie — komunizm zrobił tu swoje. Nie w tym jednak rzecz, to drugorzędne. Więc co jest ważne, o co chodzi?

Właśnie, trudno to było określić: o co tym wszystkim tutaj ludziom chodzi? Na przykład idą koło Pałacu Kultury pijane, zawadiackie chłopaki. Brutalnie rozgadani, krzykliwi, gwara warszawska — Franek Dolenc ich rozumie, potrafi nawet pogadać jak oni, ale nie jest w stanie pojąć, co jest ich istotą, ich napędem. Krzyczą do siebie, podnieceni, o niczym. Jednakże to musi być maska, a co pod nią? Tego Franek nie wie, choć kiedyś dowodził takimi samymi warszawiakami, jak oni. A teraz — gdzie się przeniósł punkt ciężenia, źródło energii?

Ci chłopcy wałęsają się tutaj, w godzinach pracy, „urodzeni w niedzielę”, jak mówiono, zaś na ławkach, między fontannami przed Pałacem tkwią cwaniaczkowie, cyganie i pijacy. Trochę zawodowych chuliganów i alfonsów w Alejach Jerozolimskich przed „Polonią”, czasem pod wieczór, zabłąkana tu z przedmieść nowa młodzież robotnicza. To wszystko zresztą nieważne, to zewnętrzna piana wielkiego miasta, tu, między dworcem a europejskimi zgoła hotelami, funkcjonująca nawet w komunizmie, czy, jak tu mówiono, w socjalizmie. Do tej piany należą także cudzoziemcy, zarówno dystyngowani ludzie interesu z pięknego hallu hotelu „Forum”, jak i nieogoleni, pogardliwi Afrykanie z „Metropolu” wraz ze swymi niebieskookimi arabeskami, należy do niej i sam Dolenc, wyobcowany, chwilowy, przypadko-

wy. Piana pianą, ale gdzie się podziała uciśniona, okupacyjna inteligencja, która jeszcze długo po wojnie, na przekór wszystkiemu, nadawała ton parterowemu, poburzonemu śródmieściu? A gdzie ocaleni Żydzi, wąski, specyficzny, ale jakże symbolicznie ważny element? Szukało się ich kiedyś w jednej z pierwszych powojennych kawiarni „Kopciuszek” w Jerozolimskich, a znów konspiratorzy, czy to spod znaku pułkownika Jana „Regenta”, czy od Mikołajczyka sunęli do „Canaletto” na Nowogrodzkiej, gdzie dawano wtedy doskonale przyrządzoną koninę. Gdzież oni wszyscy, „Kolumbowie” i Żydzi, konspiratorzy, KA-owcy, wynędniali inteligenci? Rozpłynęli się, nie ma ich co szukać: wszystko znikło — pod podmuchem wieku, ćwierćwiecza.

Więc jakież sfery społeczne zaludniają w południe polski Manhattan? Nie tylko brukowa czy wielkomiejska hotelowa piana oczywiście. Na przykład niedaleko, po drugiej stronie Marszałkowskiej, za niesymetryczną, pofałdowaną szklaną rotundą banku PKO i zieloną kratką „Orbisu”, w szeroko rozpostartych magazynach „Centrum” tłum faluje od rana. — To chłopci, panie, wykupują wszystko — mówi niechętnie Marian, ów szatniarz od dolarów z „Metropolu”, kiedyś, jak się okazało, dozorca-pielęgniarski w sławnym zakładzie dla „psychicznych” w Kulparkowie pod Lwowem. Zaciekawiony Dolenc miesza się między owych chłopów — rzeczywiście, kolejne ich gromady wyrzuca od świtu niedaleka, podziemna stacja „Śródmieście” — jadą z całego województwa, z linii Wschodniej i Zachodniej. Dobrze ubrani, zapobiegliwi, z kolorowo ustrojonymi dziećmi tłoczą się po skąpych, elektrycznych schodach — wśród nich warszawskie paniusie, sporo też pięknych, zagadkowych dziewczyn, jacyś młodzieńcy w zagranicznych dżinsach. Ten przedpołudniowy tłum bardzo góruje materialnie i postawą nad ową zmiatającą wszystko, szarą, a dygocącą od znużenia i nerwów falą ludzką, która

zalewa tu ulice między czwartą a piątą po południu. Natłoczone tramwaje, zwichrowane autobusy, oszalałe samochody, głowa przy głowie tłoczy się po niewygodnych, podziemnych schodach — to prawdziwa Warszawa, zmęczona, szorstka, nerwowa — wraca z pracy, na swe dalekie przeważnie, defilujące szklanymi szeregami w polach dzielnice nowych bloków. Ton nadają kobiety, z opuchłymi nogami, z siatkami na zakupy. Kobiety pracujące — niełatwe mają w Warszawie życie.

Dolenc wspomina Amerykę, porównuje — tam nie ma tłumu wiejskiego i miejskiego, inne liczą się kategorie, także kolory, kolory skóry. — Jak to możliwe — pyta pana Mariana — że chłop wygląda dziś lepiej niż człowiek miejski, z biura czy z fabryki? — Proste — pan Marian na to — bo chłop ma towar, kiedy miejski tylko pieniądze, w dodatku nie za duże, a jak już duże, to nie wiadomo, co za nie kupić. Co dziś pieniądz, panie, chyba że kradziony. Ale w mieście mało się ukradnie i to nie wszyscy — prędzej majster, dyrektor. A na wsi co za sztuka schować cielaka czy wieprza, trochę dla siebie trochę na handel? Wieś już podczas okupacji się odkuła: przedtem to Żyd handlował, a za Niemca chłop podyktował swoje, bo i dziedzice się skończyli. I tak już zostało, choć młodzież do miasta się pcha, to na roli wisi. Chyba, że ich skolektywizują...

Pan Marian krzywi się niechętnie czy z wszechpogardą, łyska złotymi zębami, on wie dużo... A tu z kolei zapada wieczór, który ujednolica wszystko swą patną cienia i bezosobowego szmeru. Teraz tłum warszawski traci swe podziały, płynie równą, obcą falą. Obcą dla Dolenca, wszystko jawi mu się niespójnie, bez twarzy. A gdzie „dusza miasta”, tak niegdyś zachwalana? Próbuje ją uchwycić w rozmówkach ulicznych, które nawiązuje przed pałacem, ale natychmiast czuje, że to na nic. Ludzie robią się wobec niego inni, specjali, może jest za stary, a poza tym — po minucie wykrywają w nim

Amerykańca czy w ogóle kogoś odmiennego. Nie móc się ukryć w swojej Warszawie — to już szczyt!

Pozostawała Mariola, pozostawał Norcio. Ona była nadal tajemnicza, nie odkrywała kim jest — zresztą domyślić się nietrudno. Ale oficjalnie farby nie puszczała, była przyjaciółką, bezinteresowną, czemu nie, można się połudzić, to nawet przyjemne. Przychodziła pod wieczór, ale nigdy nie chciała zostać na noc, mówiła, że tak jest lepiej. No jasne, sympatyczna z obowiązku i z przekonania obsługa „Forum” miała przecież na pewno oczy w głowie — to ich druga praca. A i podsłuchy oczywiście tu są, albo jeszcze coś gorszego.

Więc Mariola tajemnicza, za to Norcio jak na talerzu — po prostu zwykły wariat. Dziwnie pomyliły mu się czasy, kolejność i chronologia wydarzeń, niektóre sprawy pamiętał świetnie, inne zatarły się albo, połączone sztucznie z późniejszymi, zmieniły w jego głowie przebieg i charakter. Okupację pamiętał najlepiej, wręcz fotograficznie, często wracał do sprawy baru „Za Kotarą”, jeszcze teraz nie wyjaśnionej, zresztą jak ją tu dzisiaj i z kim wyjaśniać — chyba z pułkownikiem „Rejentem”, który, na przekór wszystkim swoim przygodom więziennym, żył zrehabilitowany i mieszkał na Filtrowej.

Główną jednak manię Norcia stanowią Żydzi, tajemniczy, ukrywający się Żydzi, którzy jego zdaniem nigdy nie ujawnili się, nie opuszczali Warszawy ani żywi, ani umarli, są gdzieś tutaj, a gdzie, tego Norcio nie powie, mruga tylko porozumiewawczo okiem, że on wszystko wie. Był niegdyś w getcie, już go wlekli na plac Muranowski, na kolejową bocznice, do Treblinki, do gazu. Uciekł, przeżył, ale widział wszystko, tragedię warszawskiego żydostwa znał do dna, stracił przecież całą rodzinę. Chociaż nie, po wojnie mówiono, że ma jakiegoś kuzyna komunistę, który przyjechał z zagranicy, nie wiadomo tylko, ze Wschodu czy z Zachodu i jest w ważnym ministerstwie, dlatego podobno Norcia nigdy nie aresz-

towno, choć wszystkich z Kontrwywiadu KA tępiono namiętnie. Na Żydów co przeżyli stawiano po wojnie, że będą wiernie służyć komunizmowi. Ale w latach 60-tych coś się popsuło, zaczęto ich wyrzucać, a po wypadkach 1968 powyjeżdżali na Zachód czy do Izraela. Tych już spraw Dolenc dobrze nie znał, wiedział tylko, że Polska Ludowa zamknięta jest dziś dla Żydów z Izraela, którzy pielgrzymowaliby przecież masowo do kraju, gdzie wyginęli ich przodkowie, gdzie żyło ich niegdyś trzy i pół miliona, do Warszawy, gdzie stał kiedyś straszny Mur, gdzie w końcu młodzież żydowska, jeszcze ocłona, rzuciła się do beznadziejnej, śmiertelnej walki. Tak, nie wpuszczano tutaj izraelskich wycieczek — to jakaś tam ruska polityka zadecydowała. Ruska polityka, jak zawsze głupia i mądra zarazem, niech ją...

Ale o tym już nie było z Norciem co gadać — miał manię, wracał wciąż do swoich tajemniczych napomknień o obecnych w Warszawie Żydach. Więcej się z niego nie wycisnie. Dolencowi znudził się nagle ten dom na rogu Mazowieckiej i Świętokrzyskiej, czyli placu — kiedyś Napoleona, potem Powstańców Warszawy, a Norcio pamiętał nawet czasy, gdy był on Placem Wareckim. Dom ciemnoczerwony w białe, niby ozdobne plamki, wsparty na niezgrabnych, prostokątnych filarach. Na dachu neon „Polmozbytu”, dziedziniec odgrodzony kratą od placu szkolnego, trochę ogródka, nad dachami wieżyczka kościoła ewangelickiego. A naprzeciw otwartych, cuchnących pojemników ze śmieciami wejście na Norciowe schody — obrzydliwe.

Więc ani Norcio ani Mariola nie zbliżą Dolenca do jego celu, czy w ogóle do nowej Warszawy. Norcio — stare, dziwaczne koleżeństwo, Mariola — młode pokolenie, młodsza od Dolenca o lat 25, więcej, o 30 prawie, ale z powodu „romansu” stracona: trudno ją wypytywać, traktować jak przewodnika, zresztą po miłosnych godzinach zniknęła systematycznie i dosłownie bez śladu.

Dolenc nie znał nawet jej nazwiska, osobliwe, choć — normalne.

Jednakże energia w końcu w niego wstąpiła, przecież już koniec września. I oto ma pierwszy plan, ma tropy, ślady starego w nowej Warszawie. Było ich cztery, nie licząc Norcia. Irena, jego niegdyś sprawa najważniejsza, serdeczna, dziś — diabli wiedzą. Jej adres miał jeszcze w Stanach, sprawdził, że po śmierci męża mieszka z córką, tam gdzie dawniej — na Opaczewskiej. Norcio ją pamiętał, ale z okupacji, później film mu się urywał.

Dalej szli druhowie — z organizacji, z czasów KA. Henek Michalak, czyli „Jastrząb”, bliski, najbliższy współpracownik z Grupy. Dziś kierownik Transportu Budowlanego Praga-Południe, mieszka na nowej ulicy, za jeziorkiem, nad którym stoi jak dawniej fabryka Wedla, czyli „22 Lipca”, ulicy skierowanej w stronę Grochowa. Dolenc miał adres od Norcia i z książki telefonicznej, pojechał tam nawet kiedyś taksówką, obszedł w koło owiane dziś kolorowymi liśćmi jesienne jeziorko, obejrzał dom. Wiedział już, gdzie ma się udać.

Drugi był Marek, przyjaciel ze szkoły, w czasie okupacji sympatyk, ale aktywny, bo dawał noclegi, nawet na parę minut przed godziną policyjną. Dziś niewątpliwie grubsza ryba, dyrektor jakiegoś chemicznego departamentu i działacz SD. Znaczy to „Stronnictwo Demokratyczne”, taka marionetkowa lipa, przybudówka Partii.

I jeszcze trzeci Kolumb, Michał Toporowski, wielki kiedyś bojowiec. Pseudonimy miał różne, „Koczur”, „Księgarz”, mieszkał teraz na MDM-ie. Z tym Dolenc zerwał zaraz po wojnie, na lata przed swym wyjazdem, bo tamten prosto z ich grupy poszedł do Ludowej Armii, był oficerem, mówiono, że w wywiadzie. Ale kariera! Kiedyś wojskowy, dziennikarz, teraz podobno wielki redaktor. Amerykanie mieli o nim jakieś dane, Murchison wspominał — dwuznacznie. Bo i facet był dwu-

znaczny, ale może to właśnie pożyteczne. Albo i — niebezpieczne? Zresztą to się łączyło.

Więc Irena i ta trójka. A nad nimi, na horyzoncie, jeszcze stary pułkownik, „Rejent” albo „Sędzia”, kilkakrotny szef Dolenca i to na jakże różnych etapach. Tyle że stary już bardzo, swoje przeszedł, mocno wymagłowany przez Bezpiekę i więzienia. Wymigał się kiedyś jako „postępowy” krótkim zamknięciem, ale ze Stalinem nic z tych rzeczy: w 49 poszedł siedzieć i wyszedł dopiero przed sławnym, choć też bujanym Październikiem 56. Dzisiaj już emeryt — w każdym sensie. Kiedyś warto go będzie zobaczyć, ale zacząć trzeba od młodszych. Zresztą względnie młodszych, wszyscy razem są już starsi, życie właściwie mają za sobą. Najmłodsza jest Irena, o sześć lat niżej od Dolenca, to pamiętał dobrze, rok jej brakuje do pięćdziesiątki, jak wyjeżdżała miała 24. Czy był wobec niej winien? Trudno ocenić — czas tak się zestarzał...

Dolenc jeszcze się waha, od kogo zacząć, jak to zrobić, kiedy nagle... To było w owym niskim a przestronnym hallu hotelowym, ciepło oświetlonym kandelabrami jak ogromne szyszki, z marmurowymi stolikami i wygodnymi fotelami. Szedł właśnie Dolenc nieśpiesznie do znajdującego się w głębi kiosku, gdzie było trochę zagranicznych pism, gdy naraz coś go zaalarmowało. Nie miał tu wszakże znajomych, nawet Norciowi nie powiedział, gdzie mieszka, więc coś znanego musiało być zarazem alarmujące. I to jak! Bo właśnie otyły z lekka, bladawy człowiek, rozmówca z Placu Bankowego, czyli Dzierżyńskiego, kierował się pośród niewielkiej cizby ku windowi. Człowiek z Pałacu Mostowskich — czy to na pewno on?

Parę szybkich kroków i Dolenc jest przy nim, lecz tamten zdawał się nie mieć oczu, bo nie dało się ich spotkać wzrokiem. Omiótł, owszem, Dolenca niewidzącym spojrzeniem i za chwilę zniknął w otwierającym się

akurat dźwigu. Nie mogło tu jednak być wątpliwości: to on. W dodatku dostrzegł Dolenca, choć udawał, że nie. Tylko umyślnie można mieć wzrok tak pusty i nie widzący.

„O, o, o, niedobrze, panie bobrze!” — ta przedwojenna piosenka kabaretowa wyskoczyła nagle Dolencowi gdzieś ze skrytek świadomości, gdzie tkwiła przez dziesięciolecia. Okupacja nauczyła go, że nie ma spotkań przypadkowych, a życie skłoniło do wiary w instynkt. Instynkt ów nie zawiódł nigdy, ani w konspiracji ani potem w Meksyku, gdy zakładał swoje pół legalne karawany samochodowe nad granicą Stanów. Przyniosły mu w końcu górę pieniędzy, ale mogły też przynieść raptowną, zatajoną przed światem śmierć. Instynkt przeprowadził go cało — wierzy instynktowi!

Który właśnie dzwoni na alarm. Coś jest nie tak — jak mówiono w nowej Warszawie. Ten człowiek nie znalazł się tu przypadkiem. A więc mieli go na oku, łagodzące słowa tamtego, to pozór! Podejrzewali go o coś? Czy się czymś zdradził? A może Mariola?!

Dolenc siada w głębokim fotelu, w głowie ma pustkę, po prostu nie wie, o co zaczepić myśli, brak materiału do rozumowania. Pewne jest tylko, że obecność tego pana w „Forum” coś znaczy. I że będzie mieć wpływ na wydarzenia. Już ma, bo Dolenc jest teraz zmieniony, zatroskany, a pogodny na pozór i pozbawiony znaczeń trzytygodniowy pobyt w hotelu „Forum” nagle nabiera znaczenia. Tylko jakiego?!

Pewne jest, że tempo życia ulegnie teraz zmianie. Ulegnie przyspieszeniu. Trzeba działać: za długo zwlekał i badał teren, musi wreszcie popracować. Choć dobrze nie wiedział jak i po co, lecz głos wewnętrzny mówi mu, że się od akcji nie wykręci: chce czy nie chce, ale już się zaczęło.

IV. SPOTKANIA Z UMARŁYMI I KAWA DO PICIA

Irena nie chciała spotkać się w domu ani w hotelu, wolała w kawiarni, zresztą mało ma czasu, bo pracuje, a córka chora. Niezbyt to brzmiało zachęcająco przez telefon, ale Dolenc już się przygotował, że z Ireną Szymaniak, bo tak się teraz nazywała, łatwo nie pójdzie — w końcu miała do tego prawo. Zresztą nie zdziwiła się słysząc go — po ćwierćwieczu to i zdziwienie się ulatnia.

A potem może się bała, nie wiedziała przecież, jak przyjechał, na jakiej podstawie. Cudzoziemiec, przybłąda w komunizmie musi razić, widocznie teraz mniej w kawiarni niż w domu, pewno pilnowali domów, a lokale odpuszczali. Chociaż kto miał pilnować, ten facet od Mostowskich i z „Forum”? Może tak, może nie, w końcu Dolenc nie znał stosunków, był tu obcy. Ciekawe, jak bardzo obcy i nie rozumiejący? Uświadomił sobie nagle, że żyjąc lata w Stanach, wiedział wszystko o całym świecie, o krajach najęgzotyczniejszych, tylko nic o ludziach zza kurtyny, zza żelaznej granicy. I nikt tam w istocie o tych ludziach niczego pewnego nie wiedział, choćby nawet się ich bano, tak jak Ruskich. Nie byli bohaterami filmów czy powieści, nie mieli twarzy, kolorytu, nie znano ich stylu, ich fasonu. I on sam, choć

tutejszy, tam był kim innym, a nie dawał po sobie poznać, jak jest odmienny. Myślał, że przechował tę inność w sobie, może umyślnie ją ukrywał, aby nie naruszyć, tymczasem okazuje się już i tutaj obcy. A ileż wyrzutów robiła mu Diana, że interesuje się tylko Polską i to nieznaną, dziwaczną, niewydarzoną. Jakżeż drażniła ją ostatnio po tygodniach przychodząca krajowa prasa! Kiedyś chciała może tu przyjechać, teraz się zacięła.

Więc to trudne spotkanie odbędzie się w kawiarni: trudne a niepotrzebne, bo jego wyjazd i milczenie już dawno rozstrzygnęły sprawę. Może wobec tego dobre będzie obojętne, lokalowe tło?

W warszawskich kawiarniach pozostało jeszcze trochę nie sowieckiego uroku życia — resztką zaledwie, ale z restauracji czy barów ona się ulotniła, chyba z powodu wszechobecnego smrodu, który mdlił i nie pozwalał zapomnieć, gdzie się jest. Dolenc unikał więc knajp, poza hotelową „Marylę”, tam bowiem, z uwagi widać na cudzoziemców, zapachu się pozbyto: a więc wiedzieli co cuchnie, ktoś wiedział. Ale kawiarnie niektóre wyróżniał, miały swój wyraz: ta na przykład, w hotelu „Bristol”, ze schodkami i dziewczyną grającą na fortepianie. Albo „Telimena”, też na Krakowskim, stłoczona, lecz intymnie, z piętrem i z bardzo po warszawsku obojętną damską obsługą. „Niespodzianka” na MDM-ie, jakaś bulwarowa, niewygodna, pospieszna. I najbardziej ze wszystkich starowarszawska, bo w niezburzonym domu rezydująca, „Wilanowska”, czyli dawny „Galiński”, róg Alej i Placu Trzech Krzyży. Wdzięku tu nieco, a także oschłości i rutyny, lecz pod spodem rytm, jakiś wspólny rytm, czy jak to inaczej nazwać, łączący osoby zupełnie sobie nieznajome, nawet nieżyczliwe — tego nie miał w Waszyngtonie, może było, choć innego rodzaju, w Meksyku. Pokrywka zewnętrznej obojętności dla wspólnej wiedzy o życiu, tak, tutaj tkwi na pewno resztką dawnej Warszawy, Warszawy jako

takiej, mówiąc filozoficznie. Kiedyś, podczas okupacji, Dolenc zaczął na tajnych kompletach uczyć się filozofii i historii. Ale po dwóch semestrach dał spokój, wciągnęła go konspiracja i idealnie trafił: w wieku 21 lat zastępca dowódcy grupy komórki „N”, w Oddziale Informacyjno-Wywiadowczym, podległym Szefostwu Operacji „Kontrwywiad”! Tak, wspaniale to kiedyś brzmiało, jeszcze długo po wojnie wlokło się za nim, imponując Irenie, którą poznał przelotnie podczas Powstania jako kompletną smarkulę. A potem parę lat razem — tamci szukali go, a ona zaryzykowała. Lecz w końcu...

Z Ireną umówili się zresztą w innej kawiarni — w „Nowym Świecie”. Nie było wtedy, po wojnie, takiego lokalu, w tamtych czasach ruiny się tu szczyrzyły — a może w pięćdziesiątych latach już nie? Teraz kawiarnia świeciła elegancją, ale fałszywą, jakąś niesympatyczną. Wielka stodoła, pełna stolików, żyrandole, estrada, bezosobowo, obco. Dolenc przyszedł wcześniej, nieufnie lustrował salę. A więc tu ma być bezpieczniej niż w domu, tu, gdzie wszystko widać od końca do końca? Inne mieli zasady konspiracyjne w zburzonej Warszawie, już w Ludowej Polsce, gdy jeszcze przyjeżdżał jakiś samozwańczy łącznik z owego Zachodu, z Londynu, tego Londynu, co to wciąż niby dowodził, choć nie wiedział czym. Trociny to już wtedy były, czyste trociny po Wielkim Rznięciu lat wojny. A dzisiaj, tu? Tym gorzej! I jeszcze do tego ma przyjść Irena. Ta sama, choć na pewno całkiem inna.

Irena okazała się okropna. Poznał ją od razu, jak tylko weszła, właściwie mało się postarzała. Ale nie w tym sprawa: zrobiła się pospolitą, gadatliwą kobietą bez wieku, bo choć nie najmłodsza, zachowała fason. Tylko że tandetny to jakiś fason, tak jak i ta kawiarnia. Irena jest podniecona, ale nie spotkaniem, podniecona jest sobą, dzisiaj. Przeszła do porządku nad przeszłością, ledwo spytała Dolenca, co teraz robi, w jakim celu

przyjechał. Po rozmowie telefonicznej sądził, że będzie powściągliwa, urażona, zamknięta, tymczasem przeciwnie, wytrajkotała mu o swoim życiu wszystko, natychmiast, w pięć minut. Że mąż nieboszczyk był porządny człowiek, że córka choruje, ale nie jest źle, bo Irena ma dużo przyjaciół, z jakiegoś biura kontroli skarbowej, gdzie pracuje. Rozgadała się szeroko na temat tegorocznych wczasów, na których doskonale się bawiła, nawet tańczyła i miała powodzenie. — W moim wieku, czy nie uważasz, że...

To było zdumiewające, Dolenc słuchał jak we śnie, bardzo niedorzecznym i nieoczekiwanym. Miewał czasem takie sny, że ktoś wprowadził się do jego mieszkania i uporczywie wmawia mu jakieś rzeczy nie do pojęcia. Zbudzić się nie może, a słuchanie staje się męką trwającego absurdu. I tu się męczył, aż wreszcie zapadła cisza: „I tak się jakoś żyje” — dodała po chwili Irena, jakby zaokrąglając czy przeprasząc. Może i ją zmęczyła ta rozmowa czy raczej monolog o niczym — bo przecież dla nich dwojga czymś czyli tematem mogły być tylko dawne sprawy, wspólne. Ale skoro ich nie poruszali, to może już były nieważne?

— I tak się jakoś żyje! Te słowa powtórzył mu w dwa dni później kto inny, Marek, znajomo już zabrzmiały, użyte powtórnie. Dolenca uczono utrzymywać sobie w pamięci pewne wyrażenia czy zwroty w związku z osobami, które ich użyły, to się przydawało kiedyś w jego pracy. Ale w jakiej pracy?! Z nałogu wciąż uważał, łapał się na tym, że najważniejsza w jego życiu była praca z tamtych lat, owe wywiadowcze działania, z których wynikło parę wyroków, trochę dodatkowych trupów — kropla sprawiedliwości w Niagarze zbrodni. Jeśli to było najważniejsze, to cóż znaczyło ćwierć wieku życia w Meksyku i Stanach? I czy tutaj przyjechał rzeczywiście, aby nawiązać do tamtego, czy też tylko tak,

dla przyjemności i odpoczynku, dla oderwania się od Diany? Trzeba się będzie nad tym zastanowić.

Na razie pogrążył się w rozmowę z Markiem, który właśnie bagatelizująco zaczął od tego, że „jakoś się żyje”. Może i u Ireny miało to odcień bagatelizujący, jakby przeproszała za zdawkową, a nadmiernie egzaltowaną opowieść o swoich sprawach? Nie była przecież tak płytka, jak się dziś przedstawiła — to także kwestia do przeanalizowania.

Marek zestarzał się zabawnie, podtatusiał, utył, krzaczaste, czarne brwi stały się siwe, potężne kwadratowe okulary tkwiły na równie kwadratowym nosie, głos ten sam, mruczący, głosów się nie zapomina, one zostają, brzmią niezmienione nad przepaściami lat. — Witamy Amerykanina, witamy u nas! To „u nas” bardzo uzasadnione, bo i żona, pulchna, życzliwa, zupełnie ta sama i mieszkanie na Mokotowie, gdzie Dolenc tylekroć nocował. Sporo tu domów nie zburzonych, a ze śladami kul — dziury i szczyrby od kul przetrwały już przeszło trzydzieści lat!

Ciepło toczyły się rozmowy, wspominali „Niemna”, komendanta Oddziału I.W., pułkownika, który właśnie uczył dowódców i zastępców dowódców poszczególnych komórek jak stosować owe zasady działania „na inteligencję”, uczył utrwalania w sobie twarzy, głosów, słów — może dlatego Dolenc tak dokładnie zapamiętał Marka, dziś, bagatela, wielkiego Dyrektora w wielkim Ministerstwie. Pułkownik „Niemen” został potem generałem, z pseudonimem „Kair” przeszedł pod koniec wojny do służby czysto politycznej, obliczonej na komunistów. Toteż komuniści go rozstrzelali, proces był szybki i tajny przed sławnym Sądem Wojskowym, gdzie tylu KA-owców zarąbano. Marek dużo o tym wiedział, wspominał sprawy bez oporu, to już historia przecież, choć nie wszystkim znana.

Więcej wspominali umarłych niż żywych. — Ale jak

ci się właściwie pracuje w komunistycznej Polsce? — spytał nagle, dla efektu, Dolenc. Tamten zamyślił się na chwilę, uznał ważność pytania i prawo pytającego.

— Wiesz, Franek — zaczął powoli — tu jest straszny bałagan. I w ogóle — to jest dom wariatów. Chcesz coś zrobić i nie możesz — jakbyś tkwił w smole. Bo...

— Widzisz, kiedyś, stalinizm, to było groźne, ciężkie, znasz to przecież. Wystraszyli ludzi. Ale był w tym jakiś patos, wiesz, gadaliśmy kiedyś, że trzeba jednak, dla Polski, mówiłem ci. A teraz — żadnego patosu. Tylko kręactwo, karierowiczostwo, forsa. Intrygi, prywata. A ci na górze? Sami nie wiedzą, jak to jeść... Popycha się, ale aż przykro patrzeć, można by tyle zrobić. Już nie chodzi, czy komunizm, czy nie... Dom wariatów, mówię ci...

— Może to skutek wojny, wyniszczenia ludzi, zmęczenia? Wy tam w Ameryce inaczej... A my tutaj... Robię, próbuję, mam nawet poparcie, tu już nie o politykę... Ale... Staram się jakoś z sensem, niby rozumieją, pomagają, zdarzają się zmiany, tylko, że... absurd... No i — tak jakoś — się żyje.

Powtarzał po parę razy, wszystko jasne, był szczery. Może przeceniał amerykańskość Dolenca, wstydził się, że tkwi w fuszerce, w półdziałaniu, inaczej niż po wojnie, kiedy zaczął z furją, wbrew sceptycyzmowi przyjaciół — a miał ich wielu. Wielu ludziom pomógł podczas wojny, nie dbając o niebezpieczeństwa, o tym się nie mówiło. I Norcia ukrywał parę miesięcy. A dzisiaj zniszczony, bezradny — choć nawet jest w tym swoim Stronnictwie.

Inaczej zupełnie „Jastrząb”, bo Dolenc, uniesiony nagłą energią, skoczył głową do wody i w jednym tygodniu wziął na rozkład całą trójkę. Ten był najbardziej zdumiony, wstrząśnięty, rzucił mu się na szyję — „Kwaśny”, rany Boskie, ty tutaj?! Oglądał go jak upiora, sam przesiedział kiedyś dobre parę lat; choć starszy, był

podkomendnym Franka, który się wykręcił: ani dnia przecież nie siedział w ciupie, w mamrze, w pierdlu, ani jednego dnia! Po Powstaniu też nie śniło się Kwaśnemu iść do niewoli — został już jako szef komórki, przydzielony do pozbieranych na nowo władz, do ochrony rządowej sesji w Piotrkowie, potem w Częstochowie i pod Warszawą, zaś gdy Rosjanie porwali „16-tu”, zgłosił się do „Rejenta”. A „Jastrząb”, Henek Michalak, przeciwnie, poszedł do szkopskiej niewoli, po powrocie z Niemiec plątał się w gruzach bez kontaktu, a jak znalazł kontakt, to miał pecha: zdjęli go, zidentyfikowali i poszedł za kraty czy mury — na długo. Jego też już Dolenc nie widział równe 30 lat — od jesieni 1946!

Gospodarz entuzjazmował się gościem, ale czasu na rozmowę nie mieli: ciągle dzwonił telefon, w domu była chwilowo córka z dwojgiem dzieci, jeszcze ktoś tam u niej, Dolenc w zamęcie nie mógł dojść do głosu, korzystając tylko, oglądał sobie widok z okna, na owe jezioro, takie polskie, na Pragę koło Wschodniego Dworca, mało zniszczoną, starowarszawską. — Kwaśny, jak rany, wierzyć się nie chce! — wołał co chwila Henek, barczysty, siwawy, z huczącym głosem. Ale wreszcie, któryś tam z rzędu raz odwołany do telefonu, zorientował się w sytuacji. — Wiesz co stary, my się tu dziś nie porozumiemy. Przyjedziesz do nas w niedzielę na daczę, cały dzień dla nas, napijemy się i nagadamy. Przyjedzie też Wacek, pamiętasz Wacka? On dziś ważny oficer!

— Oficer?! Dolenc przypomniał sobie, że Henek miał synka już w czasie okupacji. — Zawodowy?!

— A coś myślał?! Majorem jest, po szkole, i to w ważnej broni, w artylerii raketowej, nie w kij dmuchał! Sam ci opowie. Dolenc zdumiał się: jak to, Michalak, więzień polityczny, reakcjonista, a syn? Ale tamten zgadywał wszystko, nie dał mu się dziwić. — Tak bracie, ja też tu jestem dobrze widziany, wszystko mi zmazali. W „Zbowidzie” jestem, kombatanckim,

wiesz, i w partii. Order dostałem na lipca, i niejeden. Wszystko minęło, wszystko inaczej, tak, obywatelu Kwaśny!

To było ciekawe, ten już nie mówił, że jakoś się żyje, po prostu żył i to pełną parą. Ale wyjaśnić sprawy się nie dawało, zwłaszcza, że z kolei przyszła żona, gruba i zabawna, Dolenc już nie pamiętał, jaka ona kiedyś była, nie szkodzi, zaraz sobie wszystko odtworzył. I stanęło na owej „daczy” w niedzielę, gdzieś na linii Otwockiej, mieli tam na niego czekać. — Będzie cała rodzinka, ale to nic, stary: pójdziemy do lasu, wszystko sobie opowiemy, a i Wacka weźmiemy, wojaka. Ubawisz się, Kwaśny, mówię ci, w Hameryce takiego ubawu nie miałeś!

Nad jeziorkiem jest fabryka czekolady Wedla, dziś „22 Lipca”, ale dla kapitalistycznej zagranicy wciąż „Wedel”. Jest też kamionkowski, dawny kościółek, prześwitujący wśród falujących drzew. Ale była tu także kiedyś mała dziwna knajpka w bunkrowatym, poszczerbionym budyneczku, nad samą wodą. Schodziło się do niej równie poszczerbionymi, kamiennymi schodami z ulicy Zielenieckiej, można też zresztą dojść okalającą jeziorko aleją, włączoną już do Parku Skaryszewskiego. O dziwo, knajpka, choć upaństwowiona, jest tam, gdzie była kiedyś, lecz nagle okazuje się, że Dolenc nie ma czasu: umówił się z Mariolą w hotelu, trzeba się spieszyć.

Z zalem wspina się z powrotem po starych schodach z kamienia na przystanek tramwajowy — a tak by się ruszyło pieszo wzdłuż różnobarwnego teraz wielkiego parku. Ale i tramwaj jedzie tu atrakcyjnie, zielonym torem obok stadionu, za którym Wisła i spiętrzone po nowemu miasto. Trzywagonowy, czerwony pojazd jest niemal pusty. Dolenc jedzie kiwając się z leniwą przyjemnością, obserwuje i zgaduje pejzaż — dla niego wszystko tu nowe, choć stare. Jednocześnie wie, że ma

się nad czym zastanowić. Acha, nad tym wojskiem raketowym i synem Michalaka. I nad bladym facetem w hotelu. Ale to później, bo już oto są na moście, już Jerozolimskie, już jego prawie dom, czyli hotel „Forum”.

Jadą z Mariolą na górę. — Zrobić ci kawę? — pyta Mariola w pokoju. — Owszem, czemu nie. Mają swoją maszynkę, zainstalowaną w łazience: tu się pije mocną kawę, nie zaś osłodzoną, czarną wodę jak w Stanach. Mariola zaparza, popijają ją w pokoju, obserwując wielkomiński pejzaż za oknem.

— Proszę, jest już kawa — mówi Mariola donośnym, jasnym głosem wnosząc na tacy czajnik, cukier, filiżanki. Ale na tacy jest jeszcze coś innego: zapisana kartka papieru, na którą Mariola wskazuje palcem. Dolenc czyta, drukowanymi, dużymi literami napisano tam:

NIE PIJ TEJ KAWY! I POWIEDZ GŁOŚNO,
ŻE NIE BĘDZIESZ PIŁ!

Zdumiony patrzy na Mariolę, ona potakuje ruchami głowy. Chwila namysłu i Dolenc mówi wyraźnie, ale bez przesady:

— Wiesz co, może to trochę późno na kawę, jest już po szóstej. Ostatnim razem zupełnie nie mogłem spać!

— Jak chcesz — Mariola na to. — Ja też właściwie nie muszę pić. Zostawię kawę w łazience — może będziesz chciał na zimno.

Czy mu się wydaje, czy też Mariola jest dzisiaj inna w ich stałym teraz zbliżeniu fizycznym? Mniej oprowadzana, gorętsza, nie starająca się maskować w żadnym momencie. Gdy po dwóch godzinach odprowadza ją jak zwykle do szklanych drzwi pod daszkiem, prowadzącym na Marszałkowską, w ostatniej chwili pyta bez nacisku, dlaczego właściwie w tak dziwny sposób odradziła mu picia kawy? — Chciałam wypróbować, jak się zach-

wasz — mówi Mariola, przygotowana oczywiście na to pytanie. — Trzeba się szybko orientować w takiej sytuacji...

— W jakiej sytuacji?

— Właśnie w takiej...

Zniknęła w tłumie, a Dolenc prędko wjechał na górę, przypomniawszy sobie o zostawionej w łazience kawie. Ale nie było już po niej śladu, maszynka wymyta, filiżanki także, ani odrobiny jakiegokolwiek zapachu. Dziwne to jednak: chciała go ostrzec, czy przestraszyć, miała w tym swój cel. Jaki? Warto się zastanowić!

V. W PODWARSZAWSKIM LESIE

Dzień szarozłotawy, prześwietlona, jesienna mgiełka. Dolenc wstał wcześniej, zafrasowany trochę ale i podniecony: coś się zaczęło, coś się dzieje, nawet dużo. Historia z kawą, bardzo ciekawa, aż za bardzo: może to komedia, dla niego odegrana, ale po co? Faktem jest, że Mariola puściła farbę, nie ukrywa już, że coś ukrywa. To u niej nowe, jeśli się zaczęło — będzie trwało. Muszą porozmawiać — dwa dni jej nie było, tyle, że dziś się nie uda, jest niedziela, krótki warszawski *weekend*, trzeba jechać do Michalaka na daczę. Nowe słowo ta dacza, ale ludzie używają — co im za różnica?

Dolenc jedzie elektrycznym pociągami z dworca Śródmiejskiego, spod białej kopy Pałacu Kultury. Ciągłe jeszcze wie tu wszystko na pamięć, tunel, wyjazd na nasyp koło Smolnej, most kolejowy — kawał przestrzeni zorganizowany po staremu i tkwiący w nim na zawsze, obwoził go ze sobą po świecie. Chociaż jest różnica, na przykład nowy przystanek „Powiśle” u wylotu tunelu, zawieszony pod wiaduktem Mostu Poniatowskiego. Zmieniło się tutaj sporo, są teraz schody, mostek, stacyjny taras. I nagle przypomnienie: tam na dole, między domami, których nie ma, był kiedyś welodrom, gdzie się mały Franek uczył jeździć na rowerze. Kiedy? Bagatela, przed wojną, ze czterdzieści lat temu. Nagle na-

kłada mu się na to wojna, okupacja, powstanie, meksykańskie pustkowia z kaktusami, upał, w końcu Georgetown i Pensylwania Avenue, Waszyngton i Diana. Cóż za dziwactwo to wszystko, razem złożone!

Jedzie już linią otwocką, patrzy chciwie przez okno, myśl ma zajęta czym innym, ale oczy spragnione są lasu, mazowieckiego, podwarszawskiego. Jednakże coś długo trzeba na niego czekać, tutaj jednak za dużo się zmieniło. Jakieś liszajowate, niskie budynki bez okien wyparły las, tu znów cementowe dziedzińce, kominy, głuchy magazyn. No tak, przemysł, ten ich komunistyczny, rozpełzły przemysł, jakiś przy ziemi, bez rozmachu, bez fasonu, ale nachalny. Mijają stacje, jedna, druga, trzecia, odżywają w pamięci nazwy, jakby się jakaś kurtyna w głowie podnosiła. I wreszcie są lasy, podwarszawskie lasy, blade, słońce pada z ukosa na rudawe pnie sosen i białawe, nakrapiane brzoźowe. No i w końcu to, na co czekał: podstołeczny busz, skłębione, karłowate sosenki na piaszczystych wzgórkach, ani to smutne ani wesołe, tylko swoje, w sobie zaczajone. Nie musi się nikomu podobać, po prostu jest i powinno być. Nie zawiódło Dolenca: to tutaj pozostało niezniszczalne.

Ale tylko przez chwilę mógł się owym „tym” cieszyć, ledwie przebiegło mu koło świadomości, uspokajając, że się nie zawiódł, gdy znów wróciło Tamto. Tamto, czyli napięcie, bo Dolenc jest dziś spięty wewnętrznie, jak zawsze, gdy czegoś nie rozumie. A nie rozumie — siebie samego. Oto naraz od dwóch dni Mariola zrobiła mu się bliska, brak mu jej, chciałby ją zobaczyć jak najprędzej. Z ciekawości? Nie — z czułości. Dotąd spał z nią, ale jej nie czuł — czuł siebie, swoją ekscytację, po prostu ich wieczory, to jakby zaspokajał pragnienie w upalny dzień. Rzecz ludzka, znana, ale jakoś dotąd osobna — robił to dla siebie, pozostał samotny. A tu nagle Mariola jest mu ni stąd ni zowąd bliska. Po tej historii z kawą stała się kimś, to ciekawe i niespodzie-

wane. W dodatku Dolenc nie wie, jak rzecz się łączy ze sprawą bladego faceta od Mostowskich, którego przyłapał parę dni temu przy windach. Łączy się na pewno, trzeba sprawę wyjaśnić jak najprędzej, zanim...

Z brzozowego gajku wyłania się maleńka stacyjka z kolumienkami, a po peronie przechadza się starszy człowiek, dziwnie znajomy, choć obcy. Uśmiecha się — ależ to właśnie Henio Michalak. Czeką na Dolencą, więc to już. Trzeba odgonić tamte myśli, zaczyna się dzień inny, trzeba mieć wolną głowę. Mariola mu nie ucieknie, ma ją w sobie, poza myślami. A w ogóle można by sądzić, że się na nowo zdomowił w Warszawie: wysiada na peron, ściska Michalaka, zupełnie jakby był u siebie. To nie sen, to dziwaczna jawa.

Dzień na daczach źle zorganizowany, chaotyczny, jak i tam, w mieszkaniu Henka nad jeziorkiem. Rodzina się płacze po dwóch pokojach, obitych od góry do dołu kilimami, dacza niby wygodna, ale nie bardzo — córka z dziećmi, zięć podobno poszedł na spacer do lasu, przed domkiem jakieś auto — dziwaczne. Henek zautomatyzowany, wciąż pokrzykuje swoje „Franek, rany boskie, ty tutaj”, ale nic z tego nie wynika, także na okrzyk „musimy się napić!” nikt nie reaguje, co i lepiej, Dolenc odwykł od polskiego picia pospiesznie i do upadłego, uprawiał wszakże przez lata amerykańskie sączenie w nieskończoność jednego drinka. W dodatku dzieci, czyli wnuki puszczają naraz jakiś gramofon — piekło. — Chodźmy do lasu — mówi Dolenc. — Pójdziemy, jak przyjedzie Wacek — upiera się gospodarz. Ale w końcu na trochę idą. Poważne sosny, kokieterijne, dziewczęce brzozy, uroczym romantyczna ścieżka, ale cóż z tego, kiedy tuż zaraz śmietnik, jakieś wysypisko, baraki pół zrujnowane, cementowy chodnik do nikąd, urwany wpół drogi. Ależ bałagan i to obok paradnej, jak myśli Henek, dacz. Logiki w tym ani odrobiny, niechlujstwo straszliwe — kiedyś miała tu być huta szkła — mruczy Henek uspra-

wiedliwiająco — ale zaniechali, wyleciało z planu. — Znamy, znamy — Dolenc nie ma litości — państwowe to i niczyje, któż by się troszczył! Ale Michalak podejmuje obronę. — Daj spokój, Franek, nie zaczynaj. Dużo jest zrobione, Warszawa stoi, praca dla wszystkich, przemysł — widziałeś po drodze. Wzięliśmy się do roboty, bez tego nikt nam nic nie da, ta wasza Ameryka też nie. Naród chłopski przerobić na przemysłowy, to nie łatwo, są zaległości, historia nas nie głaskała, sam wiesz. Ale teraz...

— Gadasz, jakbyś był w partii.

— Bo i jestem. Mówiłem ci przecież.

— Co?! Acha, prawda, mówiłeś.

Dolenc aż się potknął o jakąś gałąź. Brnęli teraz po piasku wśród krzaków jałowca, zmieszanych z karłowatą sosną, gdzieś tam wdzięczą się owe cieniutkie białe brzoźki. Henek w partii?! Toć ze sześć lat w więzieniu siedział. — Siedem — prostuje tamten dla dokładności. — Ale co z tego?! To były — uważasz — stalinowskie wypaczenia, trudno, koszty historii. Zrehabilitowali mnie po Październiku, mam prawa kombatanckie, w „Zbowidzie” wszystko mi uznali! — Wszystko?! — Dolenc jest sceptyczny — grupę w komórce „N” także? — Ma się rozumieć — Henek się nie daje. — Nie znasz tych spraw, teraz się na to inaczej patrzy. Mam pochodzenie robotnicze, chłopie, proletariusz, nie w kij dmuchał (próbuję żartować), a walczyłem o wolność jak inni, bez rozróżnień!

— W kontrwywiadzie?! Coś to nie bardzo jak inni.

A dlaczego nie?! Małośmy faszystom dali w kość? A „Za Kotarą”, pamiętasz? Zła była robota, nie dla Polski?!

Tu cię wiedli. A akurat „Za Kotarą” to mogła być robota zła, na emigracji sporo o tym w pewnym okresie gadano, tam a nie w kraju znawcy okupacji i KA-owskiej

historii rozszczepiali każdy dawny włos na czworo. To był lokal kontrwywiadu Wehrmachtu, „Abwehry”, szkopy mieli rozpracować tutaj plany Powstania, o którym coś wiedzieli. Tylko te wiadomości ich interesowały, nic więcej, nie chcieli nikogo brać ani aresztować, Żyd Staszauer, dawny filmowiec jako kierownik też ich nie interesował, i to w październiku 43, kiedy żywego Żyda na świetle, na powietrzu nie było już w Warszawie ani śladu, ani popiołu. Brunetów na ulicach zatrzymywano, czy nie obrzezani, a tu Józef Staszauer królował wśród Szkopów na sali i za bufetem, wyglądał przy tym „jak Czech” (to znaczyło jak TRZECH Żydów). Ale tych z Abwehry nic to nie obchodziło, im więcej było w lokalu podejrzanych ptaszków, dziwnych interesów polsko-żydowsko-niemieckich, bo bronią też tam handlowali i czort wie czym — tym dla nich było lepiej. I nagle „Kwaśny” dostał rozkaz: wykosić wszystkich o tej i o tej godzinie, Polaków i Niemców, bez różnicy. Norcio nadał akcję, zaciekawiony bardzo, czy zabiją też Żyda („sprawiedliwie”). Zabili prawie wszystkich, 10 osób, jedna, nie dobita, wykitowała w szpitalu. Henek na skwerku, na placu Napoleona koło klozetu krył odwrót z rozpylaczem, rozbił jeszcze jakiś szkopski patrol. Istniała bitwa, a u nich ani draśnięcia. „Bez strat własnych” — ładne sformułowanie.

Ale potem do Dolenca aż w Meksyku napisała jakaś zwariowana hrabina, podobno z wywiadu alianckiego, że źle się stało, bo tam w owym „Za Kotarą” spotykali się ludzie z dowództwa KA z oficerami Wehrmachtu, którzy byli przeciw Hitlerowi, że to był jedyny punkt styku. I że, jakby niemieccy sztabowcy zabili Hitlera potem, w zamachu Stauffenberga, to by może i Powstania nie było i Warszawa by ocalała. Kto do tego lokalu chodził z KA? — dobrze nie wiadomo. Pewien konspiracyjny dziennikarz, który wywiązał stamtąd ze swym towarzystwem tuż przed strzelaniną, bo wyczuł pismo nosem, wy-

dał po trzydziestu prawie latach w Londynie wspomnienia, gdzie po trochu potwierdził tę wersję, nie przecząc jednak, że się tam jakieś niebieskie ptaki schodziły. Ale to jeszcze nie był grzech! Więc wykosili niewinnych?! Przecież rozkaz mieli wyraźny.

Wdał się na ten temat w rozmowę z Henkiem, tamten się ożywił, to lepsze niż polityka. Brnęli teraz po piasku z powrotem, słońce się schowało, wilgotna mgła schodziła, czasem czubki sosen lekko zasumiają, ale busz, którym się przepychali, trwa nieruchomy. Dolenc gada o okupacji, zarazem jednak myśli, jak się Henek zmienił. Widać to po drobiazgach choćby. Mówi: „daliśmy w kość faszystom” — tak się o hitlerowcach nie mówiło, to dzisiejsza mowa komuchów. I to rzekome robotnicze pochodzenie: toć ojciec Henka miał fabryczkę kół na Woli i zarabiał więcej niż stary Dolenc, który był kasjerem w państwowym banku!

Tymczasem już wrócili do domku, czyli „daczy”: stoi owa dacha w trochę niechlujnym, sosenkowato-brzozowym lasku („Wszystko tu niechlujne, nawet las, jak oni to robią?” — to niesformułowana refleksja Dolenca), z wierzchu niepozorna, brzydko otynkowana, w środku dość przytulna, choć z kilimami to trochę przesada. Objawiła się teraz gospodyni, tęgawa pani Maria, na stoliku wreszcie wódka i kanapki. Za zdrowie Amerykanina, KA-owca i komórki „N” proponuje wypić Michalak — na szczęście wnuki gdzieś się zgubiły. Dolenc wie, że po pierwszym dużym kielichu przychodzi euforia, „przestrzenna”, jak to sobie nazywa — że jesteś sobą w przestrzeni, czyli w swego rodzaju niebycie. Przestrzeń między Meksykiem, Georgetown i podwarszawskim laskiem to przestrzeń wcale niezła, można się czuć jak w samolocie, Franek bardzo lubi jazdy samolotem, zaznał ich dopiero po ucieczce z Polski. Pierwszy kielich idzie doskonale, Henek wydaje mu się obecnie bardzo sympatyczny, mimo swych politycznych, państwowo-

twórczych deklaracji. „Państwowotwórczy”, to przedwojenne słówko z epoki Sanacji, ale i dzisiaj doskonale tu pasuje, swoją drogą zabawna ta Polska, taka zmienna a niezmienna...

Za oknem jakiś samochodowy jazgot, porykiwanie i cichnące rżenie motoru: tak oni tu jeżdżą, bez tłumików, też jakoś niechlujnie. — Ocho, Wacek przyjechał! — Henek jest zaczerwieniony od wódki, głowa mu zesłabła widać. Za chwilę w drzwiach staje młody Major, wysmukły, przystojny, w eleganckim, oliwkowym mundurze, z krawatem. Dolenc ma jeszcze swoją euforię z pierwszego kielicha, wie, że po drugim czy trzecim będzie już gorzej, trzeba wyzyskać moment, poczarować Majora póki czas, może się wszakże przydać właśnie do „tego” — wizja Muzyczka — Murchisona na tle pancernej szafy przebiega gdzieś po utajonym, niematerialnym ekranie. Jednocześnie Dolenc oblicza szybko, że ów młody Michalak lat ma 35 lub 34. Zajmował się tą rodziną trochę, jak Henek poszedł do ciupy, po powrocie z Niemiec — nawiązał kontakt z panią Marią, przynosił jej jakieś londyńskie pieniądze na dzieci, córka się urodziła pod Warszawą po Powstaniu, kiedy Henka jeszcze w kraju nie było. Nigdy Dolenc o tym nie myślał, teraz nagle wszystko powraca. Odzyskuje po trochu własne życie, warto było przyjechać. Bardzo by się na to wściekła Diana, ona nie zносиła Dolencowej przeszłości, dla niej to była jakaś chamranina wariatów w zwariowanej Europie. Mocno i solidnie wbudowana w swoje życie prywatne, jak wszyscy Amerykanie, wpadła z tym Dolencem całkiem, ale dopiero po latach to zrozumiała. Dobrze przynajmniej, że się nie pobrali...

Myśli to wszystko, a jednocześnie rozmawia z majorem Wackiem na tutejsze tematy. Major nie pije, bo prowadzi auto, za to oni dwaj są już nieźle podlani. Pani Maria przynosi bigos, Henek coś tam entuzjastycznego pokrzykuje, Dolenc pyta rzeczowo: — Jakie to

wasze wojsko? — Niezłe chyba, nowoczesne — Major jest skąpy w słowach. — A z kim właściwie będziecie się bili? — Z każdym, aby o Polskę. Dobra odpowiedź, sympatyczny chłopak!

Podpity Henek wtrąca, że Dolenc na pewno nie ma zaufania do komunistycznej armii. — Myśmy byli w prawdziwym polskim wojsku, choć bez mundurów, w KA, w Grupie, w Sekcji. I jak nam za to zapłacili? Ja siedem lat w pierdlu, on też by siedział, jakby nie zwał do Meksyku czy Ameryki. Polska Ludowa, sobacza jej mać!

Dolenc jest zdumiony, Henek po wódce zmienił front, a może po prostu chce się jednak dawnemu koledze przypodobać? Major czyli syn trochę się nastroszył, ale przyzwyczajony widać do wspominania rodzinnych historii, nie podejmuje tematu. Oczy ma siwe, polskie, legionowe, jak myśli Dolenc. I to w gierkowskiej Polsce. No cóż — pokolenie za pokoleniem, pokolenie za pokoleniem, pokolenie...

Ale temat nadal drażni widać majora, zwłaszcza przy świadku, opromienionym pewnie rodzinną legendą. Mówi coś, że były czasy Stalina, wszyscy wtedy ucierpieli, Rosjanie też. Ale teraz czasy inne, przecież i Ojciec jest w partii... I w wojsku teraz inaczej, po polsku rzecz wygląda.

— Ale Ruscy dowodzą! Ten Henek jest jednak zabawny, wręcz wchodzi w rolę Dolenca, zastępuje go. Toć rozmowa wywiadowcza, jak dla niego stworzona.

— Nie, wiesz przecież, że nie, nie byłbym w takim wojsku oficerem. I w ogóle bym nie był!

Chłopak się zaperzył, poczerwieniał. Dolenc zaczyna mitygować, tłumaczyć, że sytuacja armii jest pewno taka, jak w Królestwie Kongresowym, że owszem, Polacy, i nawet generałowie polscy, ale przecież najwyższe do-

wództwo i w ogóle cele ewentualnej przyszłej wojny, to...

— Myli się pan — Major mówi teraz chłodno — tak by się mogło wydawać, tak pewno myślą Rosjanie, ale polskie wojsko jest polskim wojskiem i polskim zostanie.

— Możliwe, z ducha pan myśli, zgoda. Tylko, że nowoczesna armia to sprzęt, maszyny, fachowcy, i także nowe bronie, tajne bronie, to przecież Rosjanie wam...

— Znów się pan myli, to z daleka tak może wygląda. A my mamy wszystko, i fachowców własnych i autonomię. Manewry Paktu są wspólne, ale broń jest nasza.

— Lotnictwo, rakiety?!

— Lotnictwo, rakiety. I ludzie. Ludzie najważniejsi. Przyjedzie pan do nas, na poligon, na zebranie, zobaczy pan.

— A wolno? Jeszcze mnie tam zamkną.

— Ale skąd. Przyjedzie pan jako gość, do sztabu jednostki. Generała pan pozna, chwyci pan atmosferę i zmieni pan zdanie. Przyjedzie pan?

— Przyjadę, chętnie. Ale dokąd?

— Umówimy się, powiem panu wtedy. Załatwione.

— Wacek, zwariowałeś, imperialistycznego szpiega do naszej jednostki raketowej chcesz sprowadzić?! — woła stary Michalak, całkiem już pijany. Syn karci go niezbyt życzliwym spojrzeniem i to jest ostatni akcent tej osobliwej rozmowy, rozmowy wszakże wyczerpującej się i milknącej, wszystko na świecie w końcu milknie. Swoją drogą niespodziewana i znakomita z tego wyszła szansa. Dla Dolenca? Raczej chyba dla Muzyczka vel Murchisona, urzędującego nad cmentarzem Arlington.

Już prawie noc, dzień skrócił się im pospiesznie a

bezsensownie, jak zawsze po wódce — cóż to za lekko-myślność wyzbywać się w ten sposób chwil życia, którego i tak niewiele pozostało. Major Wacek odwozi Dolenca do Warszawy, Henkowie zostali na daczach do rana, chyba z wnukami i całym kramem. Jest noc, dość ciepła lecz bez gwiazd. Samochód pędzi asfaltową taśmą wśród sosen, podwarszawskich sosen, ale Dolenc nie ma z tego już przyjemności, przeciwnie, czuje się zagubiony i pogubiony. Wiedział przecież, że to nastąpi, ów nieunikniony refleks poalkoholowy, negatyw tamtego stanu. Czuje się, owszem, w przestrzeni, ale jednocześnie jakby był poza sobą samym, zmęczonym i zniechęconym. Obserwuje owego samego siebie z daleka i wie, że na ten stan rozdwojenia nic już dzisiaj nie poradzi, trzeba go prześpać, zawiesić życie na parę godzin, aby znów harmonijnie wejść w swe własne wnętrze. Tymczasem musi z wysiłkiem rozmawiać z majorem Wackiem, siedząc koło niego, a także, z nałogu, rejestrować w świadomości mijane miejsca oraz ich nazwy. Wreszcie długi nasyp, skręt w lewo i teraz już wjazd do Warszawy przez dziwne, szerokie ulice — bulwary, jakich nigdy tu nie było: oto Płowiecka, Ostrobramska, Stanów Zjednoczonych (tak!), oto Trasa Łazienkowska i nowy most. Za Wisłą, nad Warszawą, nasianą dziwnymi wieżycami, teraz w półciemności błyskającymi tysiącami okien, trwa na niebie ciemna również poświata. Ciemne światło — osobliwa tego miasta specjałność!

Wieczór też osobliwy, męczący, kończy się również niezwykle. Wchodzą razem od strony piętrowych garaży do hotelowego westybulu, Wacek, aby kupić papierosy. I nagle Mariola — objawia się pośrodku hallu, zdążając w stronę szatni i kiosku z kwiatami. No właśnie, na tę okazję Dolenc przecież czeka, przepraszając Wacka pospiesza w jej kierunku. Dojrzała go, waha się chwilę, i nagle zastyga, wpatrzona w coś ponad Dolencową głowę. Dolenc odwraca się i widzi Majora, równie

skamieniałego, wpatrzonego w nią, jak w Najświętszy Sakrament. Chwilę trwa scena osobliwa, wreszcie ona odwraca oczy. — Mariola — głos Dolenca chrypi z lekka — chciałem cię zobaczyć, mam do porozmawiania. Ona, już odczarowana, kiwa lekko głową, zapewnia, że jutro przyjdzie — o zwykłej porze i skwapliwie znika gdzieś w wyjściu, choć przecież jest bez płaszcza. Ki lichy — nieoczekiwane to zaskoczenie powiększa jeszcze ową dotkliwość i dolegliwość przynoszoną przez poczucie nienormalności, przez ów niemiły stan irrealizmu, którym alkohol bierze swój rewanż — od paru wszakże godzin. Przykra wizja świata utrzyma się już widać przez cały wieczór.

Dolenc wraca do Majora, ten już się opanował, lecz wyraz twarzy ma zmieniony, najwyraźniej oboje są w coś wprzęgnięci.

— Nie panują nad sobą ci młodzi ludzie — myśli sobie Dolenc — niechby tak pożyli w czasach okupacji! Ale cóż — nie pożyją. Każde pokolenie ma swoje sprawy, swoją skalę odczuć, doznań, wytrzymałości. Nie ma co kłuć ich w oczy tym, co było, to nieskuteczny a zawistny masochizm starszych. Nienawidziła tego Diana i Dolenc się oduczył — raz na zawsze i wszędzie.

Nie będzie też w ogóle mówił z Majorem o dziwnej scenie, jaką widział. Uda, że mu się zdawało, albo przeciwnie, że mu się nic nie zdawało. Major rad z tego wyrażnie, już się uspokoił, nabrał zwykłego, zdawkowo rzeczowego sposobu bycia. Umawiają się krótko na telefon, celem odwiedzenia jednostki. Dolenc którymś dalekim zmysłem wyczuwa, że nic już z tego nie będzie, udaje jednak dobrą wiarę. Major szybko znika, nie kupiwszy wcale papierosów, po które przyszedł. A Mariola?

Marioli też nigdzie już nie widać, choć Dolenc zagląda do obu restauracji, śledzi też od niechcienia płaszcze w szatni, czy nie ma tego jednego, fioletowego. Ale

szatniarz go zna, jego i ten płaszcz, pewno domyśla się wielu rzeczy, trzeba uważać. Jest już późno, w hallu się przerzedziło, tylko parę zagłębionych w fotelach osób śledzi telewizję. Nie ma tu czego szukać, po cóż być łowcą złudzeń? Ale to nie było złudzenie: ci z grupy „N”, ze szkoły niezapomnianego, rozstrzelanego „Kaira” tak łatwo się nie mylą.

VI. SZCZERA ROZMOWA

Mariola już od razu wie, że dzisiaj, mimo normalnej po temu porze, nie pójda do łóżka (a raczej nie pójda na tapczan), zaś Dolenc wie, że ona o tym wie. Obmyśla sobie na razie jak zacząć, czekając aż Mariola zdejmie płaszcz. Tymczasem ona sięga do torebki, wyjmuje notes, wydiera zeń kartkę i pisze na niej: NIE ROZMAWIAJMY TUTAJ, CHODŹMY DO KAWIARNI. A więc jednak — intencje mają wspólne!

Dolenc nie znalazł w ciągu przedpołudnia wiele czasu na zastanawianie się, jednakże wszystko w ciągu ostatnich paru dni ułożyło mu się samo, niemal poza świadomością, w jedną, spójną, jak tu teraz mówiono (nowych słów odkrywał w Warszawie coraz więcej) całość. Punkty orientacyjne, czyli „węzłowe” — też nowe, gazeciarskie określenie — to były: a) skąd się w ogóle wzięła i kim jest Mariola? b) co robił w hotelu człowiek z Pałacu Mostowskich i czy Mariola coś o nim wie? c) czy łączy się z tym historia z kawą, co ona w ogóle znaczyła? d) skąd Mariola zna Majora Michalaka, skąd pochodziło obopólne ich zaskoczenie i skamienienie? e) czego właściwie Mariola chce oraz spodziewa się od Dolenca, zważywszy, że jest stary i nieatrakcyjny, a ona pieniędzy od niego nie bierze? (mi-

łość wykluczona — na ten temat nie będzie się wszakże wygłupiał).

Siedząc więc na pięterku w „arabskiej” kawiarni hotelu „Metropol”, naprzeciw schodów, gdzie jest tylko parę stolików, w miejscu dość zacisznym, a raczej przeciwnie: jazgot tu panuje wszędzie, a dym papierosowy zaciemnia obie sale — dobre to do konspiracji, zaś dla uniknięcia podsłuchu wręcz idealne.

Dolenc ma w głowie swoje punkty, ale to jest plan porządkowy dla niego — w rozmowie kolejność będzie inna. Zresztą; rozmowa idzie bez trudu, bez oporu, jakby byli na nią z góry umówieni.

— Więc co właściwie było z tą kawą?

— Po prostu, chyba się domyślasz? Dosypałam środka nasennego!

— Po co?!

— Jak to po co? Najzwyczajniej — żebyś zasnął.

— Ale do czego ci to było potrzebne?

— Mnie?! Do niczego. Ostrzegłam cię przecież.

— Więc dlaczego to zrobiłaś, jak ci nie było potrzebne? I co to był za proszek?

Mariola milczy, zresztą zgola nie zmieszana. Dolenc czuje, że źle sformułował pytanie i ona daje mu to do zrozumienia milczeniem. Zawsze jest taka dyskretnie logiczna, to trzeba przyznać. Stropiony, szuka odpowiedniego sformułowania, wreszcie znajduje.

— Kazano ci wsypać ten proszek?

— Tak.

— A co to było?

— Nie wiem, dostałam go.

— Od kogo?

Mariola wzrusza ramionami: znów niedobre pytanie!

— Od tego, co ci kazał go wsypać?

— Tak.

— Czy to tajna policja?

— U nas to się tak nie nazywa.

A więc jednak — jest w tym przyznanie się. Swoją drogą dobra ta Mariola — rzeczowa, prosta, na swój sposób lojalna. Ostrzegła go przecież, ale tak, żeby tamci, podsłuchujący, niczego się nie domyślili. Żeby wilk był syty i koza cała. Lojalność na dwie strony! Ciekawe.

— Czy ten ktoś jest w hotelu?

— Tak. Bywa w hotelu.

— Ten sam, co urzęduje w pałacu Mostowskich? Błady, powolny? Widziałem go kiedyś przy windach.

Ona kiwa głową, jakoś nie chce się jej o tym mówić. Ale trzeba.

— W jakim on jest stopniu?

— Pułkownik chyba. U nich stopnie się nie liczą. A właściwie — liczą się inaczej.

— U nich?

— U nich. W Służbie Bezpieczeństwa.

Zapada cisza — cisza między nimi, oczywiście, bo naokoło trwa nieustający szum i jazgot kawiarni. „Szumiały mu echa kawiarni” — Dolenc przypomina sobie taką bardzo starą piosenkę, chyba jeszcze z czasów Pierwszej Wojny. Widywał ją w małym wydaniu nutowym równie starej firmy „Rzepecki”, u Ireny na pianinie, kiedy się ukrywał przed ubekami. Mój Boże, jakież to czasy dawne!

Mariola nie wygląda ani na zmieszaną, ani na zniecierpliwioną — wczoraj była zaskoczona, dzisiaj nic z tych rzeczy. Przygotowała się najwyraźniej na indagację, trzeba więc ciągnąć śledztwo dalej. Choć ponieważ stracił już ochotę: sprawa prosta, szablonowa.

— Musisz go słuchać? Dlaczego?!

Wzruszyła znów ramionami — pewno zbędne pytanie. — Łażą za mną, obserwują. Nie miałabym spokoju.

Po chwili zaś, dwuznacznie:

— Nie mogłabym przychodzić do ciebie na górę. Oni wszystko wiedzą!

Dolenc przymilkł na chwilę — tu go zaskoczyła! Jest w tym i wyrzut i, chyba, przyznanie się do procederu, jaki spełnia. No tak, w reprezentacyjnym hotelu pilnują jak diabli, sam przecież widział w restauracji. Ale Mariola nie wzięła od niego pieniędzy, ani grosza. Czasem co najwyżej płacił obiady. Może DOTĄD nie wzięła? A może...

— Kto ty właściwie jesteś?

Wiedziała, że to pytanie przyjdzie, przyjść musi, była na nie przygotowana. Odpowiada jak z nut, jak z kartki, jak w komisariacie.

— Warszawianka. Lat dwadzieścia siedem. Gimnazjum Królowej Jadwigi. Skończona historia sztuki na Uniwersku. Zatrudniona w Instytucie... Czasowo nie pracuję...

— Masz rodzinę?

Tu chwila namysłu, króciutka, ale dostrzegalna. — Rodziną się nie interesuję — mówi wreszcie. — Nie utrzymujemy stosunków...

— A mieszkasz sama?

Mariola wzrusza znów ramionami, lekki grymas, zdaje się mówić: „Co cię to obchodzi? To wyłącznie moja sprawa”. Dolenc nie nalega.

I znowu przerwa, piją resztkę kawy — jest dopiero koło szóstej. Dużo mu powiedziała, ale mimo to zagadka pozostaje zagadką. Tyle tu rzeczy niejasnych...

— Powiedz mi — Dolenc mówi tonem łagodnym, wręcz miękkim — ta łagodność nie jest sztuczna ani zaplanowana, po prostu czuje dla niej teraz jakąś serdeczność. — Mimo wszystko — myśli sobie — jakiś się robię sentymentalny. Ale w końcu — cóż ona winna? Chyba, że...

— Powiedz mi, co za interes właściwie miał ten cały Pułkownik, żeby mnie usypiać i to akurat wieczorem?

— Sama o tym myślałam. Pewno chciał zrobić rewizję?

— Przecież zawsze może to zrobić, jak mnie nie ma!

— Niektóre rzeczy nosisz pewnie przy sobie...

— Jakie?!

— Nie wiem, nie mam pojęcia.

— Ale powiedz mi, co to był za proszek?

— Też nie wiem. W żelatynowej kapsułce — kazał mi go wsypać do kawy.

— A może chciał mnie zabić?

— Nie żartuj w ten sposób! Powiedział mi, że będziesz potem spał dziesięć godzin. Ja mu wierzę — to solidny człowiek, na wiatr nie mówi.

— Solidny truciciel?!

— Przestań. Ostrzegłam cię przecież, i zawsze cię ostrzegę — ostrzegłabym. Ale nie chcę, żeby to się powtórzyło. To niebezpieczne.

— Ja myślę.

Znów przerwa w rozmowie, temat niby wyczerpany. Ale w istocie nie, właściwie w ogóle nie rozpoczęty. Mariola tak mówi, jakby się wszystko samo przez się rozumiało. On zaś nie wie, co o tym sądzić, jakie tu są obyczaje. Policyjne przynajmniej.

— A gdzież on ci dał ten proszek?

— W hotelu.

— Ale gdzie?!

— Na 24 piętrze, pod tobą. Dokładnie pod tobą. Oni mają tam swój pokój.

— Oni?

— Tak, oni, bezpieczniacy. W każdym hotelu jest taki jeden pokój. Specjalnie dla nich. Zresztą nie wchodzi do ewidencji. Ale kierownictwo naturalnie wie.

Cisza, cisza, cisza. A raczej szum, nieustający szum kawiarni — wiercący w uszach. Przy sąsiednim stoliku młodzi ludzie rzucają w ich stronę spojrzenia bez zainteresowania — zainteresowani są sobą, tyle, że trzeba

czasem oprzeć na czymś wzrok. Dolenc przypomina sobie młodego majora, Wacka.

— Czy znasz majora Michalaka? Bo zdawało mi się, że...

Mariola ożywia się wyraźnie, w jej twarzy po raz pierwszy pojawia się coś na kształt zniecierpliwienia czy gniewu.

— Uważaj z nim, to niepewny człowiek! Może być niebezpieczny.

Może być niebezpieczny, to dobre. A tamten, człowiek z Pałacu i z pokoju na piętrze 24 to taki bezpieczny! Dziwne kryteria. — Czy on też jest z tej służby? — Dolenc pyta na chybił trafił, w końcu ona również ma z tym wszystkim coś wspólnego, skoro musi wsypywać proszek do kawy. Raz się nie udało, mogą kazać drugi raz, mogą ją podejrzewać, zmuszać, szantażować. — Więc czy major Michalak też? — nalega Dolenc. Ale ona wzrusza ramionami. — Nie wiem, nie chcę o nim rozmawiać. Tylko proszę, bądź ostrożny. Proszę...

W głosie jej po raz pierwszy brzmi coś miękkiego, jakby błagalnego. Co ona właściwie czuje, ta dziwna istota? I teraz Dolenc postanawia uderzyć frontalnie. Może nie tyle postanawia, co samo mu tak wychodzi — spontanicznie, aż się sobie dziwi. Widocznie jest jednak jakiś sentyment między nimi dwojgiem, z jego strony na pewno (sentymentalizm starszego pana? uczucia jakby ojcowskie? Toć ona o piętnaście lat młodsza jest od Diany!). Zresztą ona, Mariola, też nie jest całkiem cyniczna, coś tam czuje, stanęła w końcu, jeśli jej wierzyć, po jego stronie, przeciw tym bezpieczniakom. Więc właśnie...

— Powiedz mi, Mariola, co będzie dalej z nami. Czego ty właściwie ode mnie chcesz? Jak sobie wyobrażasz dalszy ciąg?

Sądził, że będzie się wahać, namyślać, że nie tak zro-

zumie pytanie, jak on je postawił. A tu — wydaje się, że ona na to właśnie czekała, odpowiada bez namysłu, patrząc prosto w oczy:

— Weź mnie ze sobą do Ameryki!

Dolenc nie wierzy, Dolenc nie rozumie, Dolenc prosi o powtórzenie.

— Zabierz mnie do Ameryki, zabierz mnie jak najprędzej. Ja tu już być nie mogę, po prostu nie wytrzymuję, mam zupełnie dosyć. A tam... Nie bój się, jak zechcesz, zaraz sobie pójdę, będziesz mnie miał z głowy. Ja tam nie zginę, ja tam mam oparcie, dam sobie radę. Nie będziesz miał ze mną żadnych kłopotów, nic, zupełnie nic, tylko zabierz mnie stąd. Zabierz mnie, ale prędko. Jak najprędzej!

Zaskoczyła Dolenca, nie ma co! Mówi z nagłym podnieceniem, z namiętnością prawie. Namiętnością? Do czego?! Chyba nie do niego, u licha!

— Ależ... Przecież ja...

— Jesteś nieżonaty, wiem. Weźmiemy ślub i tam zaraz się rozejdziemy. Wszystkie tak robią, to normalne. A ja wyjechać muszę!

Dolenc wyobraża sobie reakcję Diany — ależ by bryznęła ironią! Na niego, na Polskę, na wszystko. Zaś Joseph A. Murchison czyli Józio Muzyczek?! Cóż za absurd, o mój Boże! I w ogóle przecież nie wiadomo, kiedy Dolenc wróci do Stanów. Kiedy i w jakich warunkach. A tutaj ta Mariola. Co właściwie jej powiedzieć i w jaki sposób?!

— Muszę wyjechać, rozumiesz? Czyż ty nic nie rozumiesz?! Przecież widzisz, jak tu jest.

— Ale w Stanach jest także bardzo trudno, choć inaczej, trzeba długo pracować, zanim się... Ja dopiero po piętnastu latach zacząłem tam coś znaczyć. Inny świat, zrozum. I ja nie mogę się z tobą ożenić!

— Przecież jesteś nieżonaty!

— Skąd wiesz?

— Wiem.

No tak — wie. I nie ukrywa tego, że wie. I w ogóle — co dalej?

Nagle budzi się w nim żal. Żal za ich „romansem”, za tym co było, owym niezrozumiałym miodowym miśnięciem, co trwał, ile? Ze dwa, trzy tygodnie wszystkiego. Ale piękne to było, piękne, bo nieodpowiedzialne, poza życiem, poza wszelkimi ludzkimi normami i prawami, poza geografią prawie, bo dla niego dzisiaj być w Warszawie, to właściwie znaczyło — być nigdzie. „W Polsce czyli nigdzie” — przypomniawszy sobie coś takiego. I tajemnicze było, a przez to jakże odmładzające: żyło się tak lekkomyślnie, to chyba już ostatni raz, ostatnia okazja. I teraz, nagle się kończy ów romans, przygoda, wdzięk, bo już nieodwołalnie wszystko, co się od-tąd wydarzy obciążone będzie wiedzą o niej, o Marioli, prawdą, ciężarem prawdy — Dolenc zna tylko fragmen-cik tej prawdy, ale to wystarczy, żeby zniweczyć resztę. Urok się rozwieje, ledwo go pojął, ledwo odczuł smak, już go traci. A właściwie dopiero teraz go odczuł, przez to właśnie, że tak nieodwołalnie traci. Takie żarty robi sobie z nami życie. Ciągłe właśnie takie, takie same, a my, niepoprawni, wciąż na nowo dajemy się wziąć. Do-lenc czuje już ciężar smutków oczekujących go w naj-blizszym czasie. Zbrzydnie mu hotel „Forum”, który dopiero co polubił, jakże okropnie zbrzydnie nowa War-szawa, której smaku zaledwo liznął. Uciekać przyjdzie z tej Warszawy, uciekać po kryjomu, jak kiedyś. Ale przecież — liczył na dłuższy pobyt, na jakąś zmianę psy-chicznej sytuacji. Po 25 latach uciekać z dnia na dzień? I jak wytłumaczyć TAM szybki powrót? Nie chodzi nawet o Josepha Murchisona, o Dianę, ale o innych, o wszystkich, o TAMTYCH. Jakżeż będzie się wegeto-wać, gdy wszyscy zmienią o nim zdanie? Czyż znowu nawiewać do Meksyku?

Mariola jakby znała jego myśli, towarzyszy im, bardzo teraz spokojna, wręcz zimna. — Niepotrzebnie się przejmujesz — mówi — to naprawdę nie będzie nic trudnego. I nie ma innego wyjścia — dla ciebie też nie. Pomyśl sobie trochę nad tym, nie musisz decydować dzisiaj. Ale czasu za dużo też nie masz. A ja — jestem już gotowa.

Ciekawe słowa, a w nich — groźba. To było do przewidzenia, prawidłowość, jak w szpiegowskim filmie. Życie nieraz bywa takie, jak w banalnym filmie czy sentymentalnej piosence. A raczej to one właśnie małpują życie, co nas zaskakuje, bo zapominamy, że nic, żaden ludzki pomysł nie bierze się znikąd, z przypadku. I nie ma irracjonalnych, uroczych romansów w połowie szóstego krzyżyka. A człowiek głupi wciąż się łudzi. Tandeta, życiowa tandeta. Wciąż na nowo i na nowo!

Więcej już tego dnia nie mówili. Przy wyjściu uderzył ich nagły chłód późnej jesieni: zimno, czarno, mglisto, choć od dawna bez deszczu, choć pod nogami bruk suchy, twardy. Przed nimi majaczy niebotyczne „Forum”, blado w mglistym zmroku rozświetlone mrowiem okien i okienek. W dole szumy i tępe dzwonienie tramwajów, nagłe reflektory samochodów. — Dziś do ciebie nie przyjdę — mówi Mariola. — Mam tu, za rogiem, auto, pojadę sobie.

Auto? Nigdy nie wspominała o aucie, z hotelu wychodziła wyjściem dla pieszych gości. Acha — stawiała je na małym parkingu przed „Metropolem”. Ostrożna dziewczyna. I — nie do przyłapania.

Dolenc wchodzi samotnie do swojego ulubionego, złoto-czerwonawego, bazaltowo-marmurowego (fałszywe to marmury!) hallu. Chyba to złudzenie, że szatniarz wie, co mu się przydarzyło i że odprowadza go wzrokiem ironicznie? Ale nie, to na pewno złudzenie. A w „Metropolu” w szatni nie było dziś na szczęście

Pana Mariana od dolarów. Pewno ma dzień wolny, dobre i to, bo może on także...

Wchodząc do windy Dolenc czuje przykre ukłucie — to myśl a raczej uświadomienie błyskawiczne, poza myślą, tak kłuje. Że oto nie mógłby już spać z Mariolą wiedząc, że piętro niżej czuwa ów świadomy wszystkiego Pułkownik z Pałacu. I że w ogóle nie będzie już mógł z nią spać: było, przeszło. A ona chce, żeby się żenił. Kapitalne!

VII. REMANENT ZWĄTPIEŃ, TAJEMNIC, STRACHÓW

Nazajutrz budzi się z przykrością, po raz pierwszy chyba od czasu pobytu w Warszawie pełen niesmaku myśli o zaczynającym się dniu, zwleka z wstawaniem, mechanicznie śledząc nikły promień słoneczny, pełznący po dywanie dzięki nie całkiem zasuniętym storom. Za owymi storami znany już pejzaż Alei Jerozolimskich, wysokościowych szkieletów, nowego dworca, ale Dolenc nie żywi dziś zwykłej, codziennej chętki, by zerwać się rześko z tapczanu, odsłonić okno i wpatrzeć na chwilę w ten dziwny, lecz przyswojony już pejzaż nowej Warszawy. Przeciwnie — zwleka z rozpoczęciem porannego życia, przedłuża stan otępiełej bezmyślności. Bezmyślność to zresztą pozorna i mało przynosząca ulgi, bo pod spodem świdrują go od samego przebudzenia myśli i odczucia niemiłe, które zatrują wszystko. Świdrują i świdrowanie owo jest uświadomione, choć dotąd przecież nie nazwał sobie tych myśli po imieniu. Lecz choć nie nazwał, wie dobrze, kim one są — najwidoczniej człowiek ma wewnątrz utajoną przegródkę, funkcjonującą poza świadomością, gdzie magazynuje się myśli nie sformułowane, lecz wiadome, po które w razie potrzeby — lub konieczności — można szybko sięgnąć. Na pewno zresztą towarzyszyły mu i w nocy, co zresztą nie jest

nowością: wszakże to właśnie w Stanach wielu lekarzy, profesorów i innych nabieraczy zajmuje się całe życie drobiazgowym roztrząsaniem problemu, o czym to człowiek myśli, kiedy nie myśli, albo kiedy śpi. Niejeden tak zwany szumnie psychoanalityk żyje w Ameryce bardzo dobrze z naukowego rzekomo badania tak zwanej podświadomości i opowiadania o niej ludziom — tyle, że nigdy nikomu do niczego to nie pomogło. Diana namiętnie wierzyła w owe rzeczy, Dolenc śmiał się z nich, ale bez powodzenia. Podejrzywał zresztą, że Diana opowiada swemu lekarzowi wszystko, co się pomiędzy nimi dwojgiem dzieje i prosi go o radę, jak ma postępować. Szarlataneria to zaiste bezczelna, lecz w Ameryce nic na nią złego nie wolno powiedzieć. Naiwni ludzie, rzadko się udaje wyperswadować im tę naiwność, choć zdarzają się i kpiny z samych siebie. W amerykańskim filmie „Muł, który mówi”, mającym za tło Burmę w czasie wojny z Japończykami, bagażowy muł dywizyjny opowiada ludzkim głosem, co w najbliższym czasie zrobią Japończycy. Zdumieni ordynansi donoszą o tym wreszcie generałowi, który sprawdziwszy parokrotnie, że muł mówi prawdę i jest mądrzejszy od całego sztabu armii, zaczyna słuchać go ślepo we wszystkim. Tak to na wskroś wierzącymi ludźmi bywają czasem Amerykanie, a Diana to Amerykanka klasycznie typowa!

Te uboczne reminiscencje odwiodły go na chwilę od zasadniczego, niemiłego wątku dnia. Nie chcąc, aby wiadomy niesmak go zaskoczył, zaczyna formułować sobie jego przyczynę wręcz półgłosem i to po angielsku. Dolenc w ogóle myśli po polsku, a gdy zaczyna mówić po angielsku, jest to niejako realizowanie pewnej postawy oficjalnej, sztucznej — nawet gdy rozmawiał z Dianą — stąd może ich związek był w gruncie rzeczy nieprawdziwy, wysilony: choć przecież ją kochał, to zawsze bał się, że mu to w mowie nie wychodzi, a wobec tego diabli wiedzą, co w ogóle wychodzi, jak on właściwie

w jej oczach wygląda? To już z meksykańskimi dziewczynami lepiej się dogadywał, hiszpański był jakiś bliższy, może brzmieniowo. Ale dotąd myśli po polsku, to oczywiste, co prawda, czy robi się to na pewno jakimś językiem? Tak, na pewno! Dolenc toczy swój wewnętrzny monolog po polsku, bo pozostał Polakiem, chociaż nic tu w tej chwili nie znaczy, jest w Warszawie nikim, po prostu nie istnieje, wobec czego ludzie „tutejsi” ani się z nim nie liczą, ani się go w ogóle nie krępują. Żeby tu zaistnieć, musi coś konkretnego zrobić. Ale co?!

Właśnie — co na przykład zrobić z tą Mariolą choćby? A czy poważnie czy też wakacyjnie traktować nie obowiązujące w zasadzie propozycje Muzyczka-Murchisona?! Jadąc do Polski wyobrażał sobie to wszystko jako urlop, odcięcie od owego drugiego siebie — amerykańskiego. Przeczuwał, owszem, że ten urlop może zostać przedłużony, bezterminowo nawet — śmierć też wchodziła w rachubę. Tymczasem życie tutejsze wciąga go od razu w sam środek swego wiru, za szybko skończył się urlop, zaiste. Więc trzeba działać. Na przykład sprawdzić od razu, co z tym pokojem o piętro niżej, gdzie bywa tajemniczy Błady Człowiek, czyli pułkownik, który zajmuje się dosypywaniem ludziom proszków nasennych do kawy!

Tknięty nagle tą ideą Dolenc ubiera się pospiesznie i podąży do tylnych schodów, aby zejść na dwudzieste czwarte piętro. Numeracja pokoi zaczyna się od cyfry oznaczającej piętro: Dolenc ma pokój 2507. Jest to pierwszy pokój w kierunku północnym od windy, a raczej sześciu wind, usytuowanych po trzy naprzeciwko siebie w prostokątnym westybulu, z podłużnym oknem w kierunku zachodnim, czyli z widokiem na hotel „Metropol”, tak jak Dolencowe okno w pokoju. W tym północnym sektorze korytarza znajdują się po jednej stronie pokoje 2507, 2505, 2503, po drugiej zaś parzyste —

2508, 2506, 2504. A więc trzeba poszukać pokoju 2407.

Dolenc jest już piętro niżej, dostał się tylnymi schodami, bezszelestnie sunie brązowo-oliwkowym korytarzem po tłumiącym kroki dywanie. Nie ma tu nikogo, można się rozejrzeć. Ale, co już gorsze, owego pokoju też nie ma! Dolenc nie wierzy oczom, sprawdza numery, widniejące na ciemnobrązowych dla kontrastu drzwiach. Jakiś tu inny system, czy co? Wreszcie rzecz się wyjaśnia: ten pokój nie ma numeru, bo został on przysłonięty mało widoczną tabliczką. Na pewno w razie czego tabliczkę się odsuwa i wszystko wydaje się normalne, słowem pokój ruchomy, pokój widmo.

Trzeba by jeszcze sprawdzić sąsiednią numerację, ale nagle spoza którychś tam drzwi wychyla się dyżurna sprzątaczką i uprzejmie zapytuje Dolenca, czego on właściwie szuka. Zaskoczony odpowiada niezbyt zręcznie, że pomylił się o piętro, zresztą klucz od własnego pokoju trzymany w ręku potwierdza tę tezę, choć na twarzy pani korytarzowej nie pojawia się nadmierne zrozumienie czy zadowolenie, wobec czego Dolenc wycofuje się rakiem, jeszcze z nią po trochu rozmawiając, wreszcie trafia nogą na zbawcze schody i znika. Nie bardzo mu to wyszło, czyżby stracił już na starość swoją dawną, konspiracyjną zręczność? No tak, inne są czasy, inne tu porządki, o co innego chodzi — w jednym i tym samym życiu okoliczności tak bardzo się zmieniły: kiedyś tropił gestapowców, dziś właściwie nie ma kogo tropić, ci nowi są, jak dotąd, nieuchwytni, a na sprawę proszku wsypanego do nie wypitej kawy nie ma ani świadków, ani dowodów. Nagle uświadamia sobie, że nie wie również wcale, jakie Mariola ma nazwisko: nigdy jej o to nie pytał, ona zaś uznała widać za rzecz najnormalniejszą w świecie, że tego się nie ujawnia! Wszystko świadczy przeciw niej, a mimo to nie budzi w nim Mariola

jakiejś alarmującej nieufności. Osobliwe to jednak i nie całkiem banalne zjawisko!

Dolenc wraca do swego pokoju, trzeba wreszcie napić się kawy (nie zatrutej!) i zjeść parę starych kanapek, które schowane ma w łazience. Gdy otwiera kluczem drzwi do przedpokoju, wyłożone jakąś sztuczną ceratą, brązową, jak wszystko na tym korytarzu, słyszy, że w pokoju dzwoni telefon. Podbiega szybko do aparatu, łapie słuchawkę, ale jest za późno: pewnie dzwoniono już długo i ten ktoś po drugiej stronie linii zrezygnował, słysząc teraz ciągle, próżne buczenie normalnego sygnału. Ciekawe, kto to mógł być: Mariola, Henek, Wacek lub może Marek Fedorowicz, postarzały przyjaciel z Mokotowa, ważny dyrektor z ministerstwa. Bo przecież Norciowi numeru telefonu nie dawał — za duży z niego wariat i fantasta, zresztą wcale nie był ciekaw Dolencowego trybu życia i mieszkania, z góry zakładając, że tkwi w tym jakaś dyskrecjonalna tajemnica. Ten człowiek od czasu okupacyjnej konspiracji zachował gust do tajemnic, na tym pewno polega jego bzik. Amerykańscy freudyści niejedno by tu mieli do gadania!

A może to dzwonił ktoś z Tamtych, zaalarmowanych jego poszukiwaniem Tajemniczego Pokoju? — owa sprzątaczką mogła natychmiast donieść, widziała drzwi, którym się Dolenc przyglądał, choć nie zdążył tam zastukać, mimo iż żywił taki zamiar. Chociaż nie — sprzątaczką miała za mało czasu. To Mariola mogła donieść jeszcze wczoraj. Donieść — lecz właściwie o czym? I jaki miałyby w tym interes zważywszy, że chce za niego wyjść za mąż i wyjechać do Ameryki? Jednakże owszem, miałyby interes: żeby on, wyszczuty przez policję, musiał się stąd prędko wynosić, jako niepożądany cudzoziemiec. „*Nicht erwünscht*”, jak mówiono w czasie okupacji. „*Juden nicht erwünscht*”, takie były w Warszawie napisy na kawiarniach i knajpach, zanim jeszcze Żydów zamknięto do getta.

Należy myśleć matematycznie, wcielić się w przeciwnika (jakiego?!), tego ich uczył pułkownik Niemen, późniejszy generał Kair — dzięki tym naukom podchorąży, a potem powojenny porucznik Kwaśny przetrwał okupację, choć właściwie to złe słowo: nie przetrwał, lecz przeżył swobodnie, jak wolny człowiek, z pistoletem czy granatem w garści. Dzięki czemu mu szło? Dzięki matematyce właśnie, bo z matematyczną dokładnością przewidywał, co robi przeciwnik, czyli rutynowany szkopski oficer i jego sztab szpiclowskich łapsów. To nawet nie było takie trudne, bo szkopy miały w głowie schemat i improwizować nie umiały — to im widać zostało z niemieckiej schematyczności nawet za owego zwa-riowanego malarza z wąsikiem. „Siekiera, motyka, piwko, alas, przegrał wojnę głupi malarz!” — znana przed Powstaniem piosenka. Przegrał, bo przegrał, ale i oni, Polacy, przegrali — dlatego wymiotło Dolenca aż do Meksyku. Taka to nagroda.

Gdyż za komuchów nie działo mu się już tak dobrze, koniec ze swobodą i bronią, nieraz trzeba się było ukrywać jak jaki Żyd. I teraz znów go dopadli, mimo uspokajających obietnic Błedego Człowieka?! Dolenc buntuje się: jest Amerykaninem i będzie działał jak wolny człowiek. Zadzwoń na przykład do pokoju 2407, niech mu wyjaśnią, o co chodzi!

Z hotelowego, na pięknym papierze wydane go folderu wie, że do tutejszych pokoi dzwoni się, nakręcając cyfrę 1, a potem numer życzonego pokoju. Dzwoni więc raz i drugi, sygnał owszem, jest, ale słuchawki nikt nie podnosi. Wobec czego pewne stają się dwie rzeczy: że w Tajemniczym Pokoju JEST czynny aparat telefoniczny, oraz że w hotelowej recepcji WIEDZĄ już, iż on tam dzwonił. Lecz co z tego wynika i co będzie dalej?!

Zanim jeszcze Dolenc skończył formułować w sobie to pytanie, telefon gwałtownie dzwoni. — Ocho, odpowiedź nadchodzi sama! Jednakże wcale nie — w słu-

chawce brzmi niski, kobiecy głos, jakby lekko zdyszany. To oczywiście Irena — tego akurat nie przewidział. — Słuchaj, muszę się zaraz z tobą spotkać u Galińskiego — jej ton nie dopuszcza sprzeciwu. — U Galińskiego?! — próbuje się dopytać Dolenc, lecz ona najwyraźniej nie chce rozgadywać się przez telefon, a rozmówca zna takie sytuacje doskonale, wobec czego nie nalega. — Za pół godziny, precyzuje Irena i odkłada słuchawkę. Więc to rozkaz? A już był pewien, że nie mają sobie nic więcej do zakomunikowania!

— Powiedziałam „u Galińskiego” — mówi Irena, znowu lekko zadyszana — bo ubecy, zwłaszcza młodzi, nie znają tej nazwy: to się teraz nazywa „Wilanowska”.

Siedzą już w tej najbardziej dzisiaj starowarszawskiej kawiarni, w głębi, na podniesieniu, do którego prowadzą trzy schodki.. Po dwóch stronach maleńkiego, kiwającego się stoliczka (to także niechlujstwo, czysto warszawskie!) piją kawę. Dolenc patrzy z bliska w twarz Ireny i nadziwić się nie może, że to jest właśnie Irena. Tak zupełnie inaczej się postarzała, niż można było przewidywać: człowiek nosi w sobie załazek swej starości, a on się rozwija według własnych praw, nic na to nie poradzisz. Dziwna jest dziś Irena i dziwne mówi rzeczy. — Ubecy? — powtarza Dolenc. — Więc ty się boisz ubeków?!

— Nie boję się — mówi Irena — ale mieszam z nimi do czynienia. — Na przykład wczoraj.

— Wczoraj, a cóż było wczoraj?

— Przyjechali po mnie do biura, zabrali mnie do Mostowskich i dwie godziny wypytывali. Ciekawam, czy zgadniesz, o co?

— Może o mnie?!

— Zgadłeś. Domyślny jesteś, to ci zostało z dawnych czasów!

Mówi żartobliwie, ale minę ma poważną. A więc rzeczywiście... Wszystko układa się w jedną, uporząd-

kowaną całość, jak w pasjansie, który wychodzi, czy w dziecięcej układance z klocków i obrazków. Można by rzec, iż ktoś umyślnie tak sprawę inscenizuje, aby zrobić na Dolencu wrażenie, aby wypróbować jego dawne zdolności. A jeszcze parę dni temu wszystko wydawało się tak przypadkowe i nieobowiązujące, prawdziwe życie jakoś wcale nie chciało się zacząć. Ciekawe, bardzo ciekawe!

— Więc od początku, bo to pewno dla ciebie ważne — Irena swoim obecnym zwyczajem rozgadała się w najlepsze. — Z biura wzięli mnie dyskretnie, jeden wszedł do pokoju, przeprosił, cywil naturalnie, zaznaczył, że to będzie niedługie, że chodzi o pewne drobiazgi, zeznania, w charakterze świadka oczywiście. W aucie, taki średni fiacik jugosłowiański z normalnymi numerami — oni umieją się ukryć, wiesz — był jeszcze drugi facet, siedział obok kierowcy, wszystko cywile, nawet dosyć grzeczni. Pojechaliśmy na Dzierżyńskiego, wejście tam od tyłu, od Nowolipia, wiesz. Wchodzimy na piętro i...

Tu nastąpił długi opis korytarzy, procedury sprawdzania dowodu, wydawania przepustki, spotkania z trochę starszym gościem, bladawym, grubawym. Pytał w obecności tamtych dwóch, z półtorej godziny chyba. Potem...

— A czy nie żądałaś wyjaśnień, o co chodzi, z jakiej racji? Nie protestowałaś...

— Nie, mój drogi, nie jestem taka głupia! Wolę, żeby mi nie wynaleźli jakiejś racji, rozumiesz? Póki byli grzeczni...

Zrezygnowany Dolenc postanawia nie przerywać jej więcej. Cóż to za gaduła się zrobiła, kiedyś taka nie była...

Teraz już bez przeszkód, powoli i okrężnie Irena dochodziła do sedna. Pytali, skąd zna Dolencę, ale coś o tym wiedzieli, choć już 25 lat minęło.

— Pytali, pytali... Dolenc właściwie mało jej słucha, zna przecież dobrze cały ten cyrk, choć tyle lat w nim nie uczestniczy. Dobrze przewidywał, że tutaj nic się nie mogło zmienić, najwyżej formy. Błady człowiek z Pałacu czy z nieistniejącego pokoju hotelowego próbował go przekonać, że teraz jest inaczej, a potem kazał mu dosypać proszku do kawy. Dobry sobie! Jakby on, Dolenc, nie miał swojej wiedzy o Warszawie, rodzinnym mieście, gdzie zawsze muszą i będą się spotykać psychopaci ze wszystkich kątów świata, ze Wschodu i Zachodu, a rezultatem musi być absurd i klęska, wybuch i klapa. Tu nic się nie zmieni, tu nic się nie zmieni...

Ludzie także nie: na przykład właśnie Irena. Ma swoje życie, swoje kłopoty, swoją pracę i nowe ambicje, a przecież nie zawahała się z nim spotkać, opowiadać mu te jakieś arabskie historie o przesłuchaniach, narażać się... Ufa mu, po 25 latach niewidzenia się, wierzy w jego słuszość — toć łączniczka, wierna jak pies łączniczka z konspiracji czy z Powstania. Mój Boże!

Dolenc odczuwa z kolei wyrzuty sumienia, że nie docenił ostatnio Ireny, zlekceważył ją, bo się postarzała, typowy to męski egoizm. Jednocześnie uderza go coś w jej niesłuchanej relacji, jakiś dźwięk, słowo? Nie — to nazwisko: Buczański, nazwisko Norcia, które niegdyś mu sami wymyślili, a które, rzecz zabawna, przetrwało wszystkie kataklizmy... Ciekawa to historia, jak długie życie mają ludzkie fantazje, choćby ta ustrojowa, wymyślona niegdyś przez dziwaczego pana Marksa!

Pytali więc Irenę o obywatela Norberta Buczańskiego, ona, całkiem słusznie, wyparła się wszelkiej znajomości. Inna rzecz pamiętać kogoś jak przez mgłę z czasów okupacji, inna zaś traktować go teraz jako realnego człowieka. Tamto było, w myśl znanego warszawskiego powiedzenia, dawno i nieprawda.

Nieprawdą też jest, jakoby znała, choć z nazwiska,

Marka Fedorowicza czy Henka Michalaka. Bo o nich też zapytywał ów przesłuchujący gość, „blady, grubawy”. Jasna rzecz, że to ten sam, od Dolenca i Marioli, od Mostowskich i z „Forum”. Pułkownik, solidny człowiek, jak mówiła Mariola, w czym miała rację: tyle sobie zadał trudu. Ale po co?! Oto cała tajemnica — wszakże niczego dotąd Dolenc w Warszawie nie zdziałał. „Nie zadział”, jak teraz mówiono. A o Josephie A. Murchisonie Człowiek z Pałacu czyli Człowiek z Tajemniczego Pokoju z góry wiedzieć nie mógł. Chyba że...

W końcu Irena wszystko już opowiedziała, wystrzelała się dokładnie, jak broń maszynowa z taśmy — do ostatniego naboju. Trzeba ją uspokoić, ugasić, ale Dolenc podejrzewa, że ona jest dzisiaj zachwycona. Żyje oto na nowo jak dawniej, to się rzadko zdarza. Wariatka — ale Warszawianka.

W widmowych Alejach Ujazdowskich, o wczesnym październikowym, niemal listopadowym zmierzchu mnóstwo teraz kolorowych liści, klonowych, kasztanowych, lipowych. Wiatr je roznosi, szeleszczy pod nogami Dolenca, który poszedł się przejść w stronę Łazienek. Sam wyszedł od Galińskiego — dla konspiracji oczywiście...

A w hotelu jeszcze jedna niespodzianka tego dnia: recepcjonista podaje mu bilet wizytowy. Napisano tam jak byk: David Edward Carter, Pierwszy Sekretarz Ambasady Amerykańskiej, Warszawa, Aleje Ujazdowskie 31, telefon 28-30-41. Wszystko po polsku, a raczej niby po polsku. Cie choroba!

Dolenc marszczy się i jeży wewnętrznie, bo cóż to znowu u licha może znaczyć, skąd w ogóle wiedzą?! Wszakże nie tak się umawiali z Joe Muzyczkiem, Dolenc zobowiązał się unikać ambasady. Miał tam nawet starego kumpla z Meksyku, Gene Harrisona, ale nie szukał go — według umowy. Prawda, kontakt powinien się zgłosić, także dwa słowa były przewidziane — w najgorszym wypadku. Ale ten jakiś Carter pcha się ofi-

cialnie, z biletem. Po co, skąd, dlaczego?! Dolenc wie z doświadczenia, że jak spraw i ludzi w jednym, nagłym momencie robi się za dużo, to zły znak. Nieprawidłowo rozwija się gra, zwłaszcza, że „za to” nie dzwoni jakoś major Wacek (człęk niepewny, nawet niebezpieczny, mówiła Mariola) w sprawie rzekomego wyjazdu do sztabowej jednostki.

VIII. DZIWNA WYPRAWA, RÓWNIE DZIWNY WYNIK

Ojciec to był najuczciwszy, najpilniejszy, najbardziej obowiązkowy człowiek świata. Kasjer w banku komunalnym — i cóż oto za historia! Jak Niemcy zaczęli lotnicze bombardowania we wrześniu 39, jak się rozpoczął zamęt i trzęsienie ziemi, a dyrekcja banku gdzieś przepadła, ojciec wziął resztę pieniędzy z kasy i zaniósł na sąsiedni komisariat granatowej policji. Dali mu, a jakże, oficjalne pokwitowanie, sam komisarz mu podziękował za obywatelską troskę, a w parę dni potem policjanci uciekli z Warszawy i nikt już nigdy tych pieniędzy nie zobaczył. Jak mu kwitowali i dziękowali, to już na pewno wiedzieli, że uciekną, i że forsa im się przyda. Dobra policja!

Nie szło nawet o pieniądze, bo te szybko straciły na wartości, a potem je w ogóle Niemcy przestemplowali i w końcu zmienili. O co więc szło? O wstyd, o zawód, o zmartwienie. Trudno to nazwać — po prostu ojcu załamał się światopogląd, wiara w coś tam, w cel życia. Do śmierci, rychłej zresztą, przyspieszonej przez wojnę, chodził zagubiony i ogłuszony, z wyrazem zadziwienia w półotwartych ciągle ustach. Chorował na astmę, potem na serce, niby jeszcze wędrował po świecie, a już go tu nie było — przypadkowy ziemski spacerowicz, wytrą-

cony z istnienia. Po takich właśnie leśnych ścieżkach chodził, jak teraz kroczy Franek Dolenc. Syn jest obecnie w wieku ojca, kiedy tamten umierał, dziwnie o tym pomyśleć, ale dziwnie tylko przez chwilę, bo potem myśl zwyczajnieje. Człowiek nie może dziwić się zbyt długo — nie wytrzymałby tego!

Po zbombardowaniu mieszkania na Świętokrzyskiej, po utracie pracy w banku i przepadnięciu skradzionych przez policję pieniędzy rodzice przenieśli się pod Warszawę do ciotki, w te strony właśnie, koło Ch. — wtedy tu było tanio, a w mieście drogo. Franek też się niby przeniósł, ale na krótko. Prędko się usamodzielniał, zaczął koczować, niezadługo wzięła go konspiracja, ale do rodziców, potem do matki, czasem przyjeżdżał. I sporo tu pamiętał, choć jeszcze więcej się zmieniło.

Lewobrzeżna okolica Warszawy, czy to na linii Elektrycznej Kolei Dojazdowej (uroczysta nazwa, w skrócie: EKD), czy też bliżej wiślańskiej parowej, tej, co jej dziś nie ma, to jednak co innego niż prawy brzeg, na linii Miedzeszyn - Otwock, gdzie byli na daczach u Henka. Tam jest podwarszawski busz, żywioł nie ujęty w karby estetyczne ani w ogóle żadne, sam dla siebie, nie dla człowieka. Tu inaczej: park, nastrój, malowniczość, Polska pocztówkowo-pastelowa. Dolenc idzie i węszy, wdycha, napawa się. Zwłaszcza, że pogoda jak na pokaz, słonecznie, kolorowo. I bezpiecznie jakoś, choć to w sowieckiej Polsce, a nie w praworządnej i cywilizowanej Ameryce. Tam był wciąż napięty, tu dzisiaj odpężył się mimo wszystko. Ciekawe.

Mimo wszystko — to znaczy mimo przeżyć ostatnich dni i potem dziwnej pustki. Mariola po swych zwierzeniach już się nie zjawiała. Człowiek z Pokoju nie dawał znaku życia, Dolenc już go nie szukał, także pan Carter z ambasady się nie zgłaszał. Zgłosił się właśnie za to, owszem, major Wacek Michalak („niebezpieczny”), po-

nawiając zaproszenie do sztabu jednostki i na poligon. Z jednym wszakże zastrzeżeniem. Oto — samochodu nie przyśle, bo to daleko i administracyjnie skomplikowane. Ale droga jest prosta. Dojechać trzeba autobusem z Wilanowa do Ch., a stamtąd leśnym duktem w lewo, wzdłuż ogrodzenia rezerwatu, do miejscowości o kryptonimie W..., gdzie znajduje się ich, jak to określił, „szkoleniowe centrum”.

Miejscowości takiej na żadnej mapie czy planie nie było, czemu się zresztą Dolenc wcale nie dziwił. Właściwie to i planu okolic Warszawy nigdzie nie było, to znaczy w hotelowym kiosku na pewno nie. W końcu jednak Dolenc zdybał gdzieś wiszącą w kącie między kawiarnią a podświetlonymi afiszami mapę, na której wszakże wszystko wyglądało całkiem inaczej. Zdał się więc na objaśnienia majora i to okazało się dobre. Był, owszem, leśny dukt na lewo od przystanku, oznakowany wskazującą strzałką, był po prawej jeszcze bardziej leśny, głuchy rezerwat, oddzielony wysoką, kutą kratą. Niecałe półtora kilometra i już będzie Ośrodek, jak zapewniał Major.

Dolenc idzie, patrzy, oddycha — i myśli. A jest o czym. Namotała się już wokół niego cała historia, tyle że nie wie jaka — to upokarzające. W najgorszych czasach okupacji, za Hitlera, wiadomo było dobrze, jakie działania powodują jakie skutki, co z czego wynika i co za co grozi. Oczywiście — istniał też margines przypadku, ale ten istnieje zawsze i wszędzie. Tymczasem tutaj komuchy stworzyły naprawdę swój, absurdalnie inny świat, gdzie wszystko się toczy według zupełnie odmiennych norm i wzorów. Ludzie żyjący tu zawsze stopniowo się przyzwyczajali i wcale nie wiedzą, jak bardzo się zmienili. Za to on, Dolenc, znający ich dawniej, widzi teraz, jak ogromnie są osobliwi, dziwaczni, niecodzienni. Marek, Henek, Irena, Norcio — resztki dawnego bytowania, umieszczone w nowym akwarium. On

to widzi, bo jest tu niedługo, niecałe dwa miesiące, albo jeszcze mniej, a dawne życie przeniósł w sobie niezmienione, jak konserwę w lodówce. Lodówka, to było owe dwadzieścia parę lat Ameryki: tak zupełnie odmiennej, że nie mogła przysłonić sobą obrazu dawnego świata — pozostał w nim niezmieniony, utrwalony raz na zawsze. Choć może, gdyby posiedział tu dłużej, utraciłby również swoją wizję. Może zdziwaczałby podobnie jak Marek czy Norcio?! Tymczasem to pewno on dzisiaj wydaje im się dziwny...

Naraz czuje, że ma już dość tych myśli, narasta w nim nagły bunt. — A więc jestem tu nikim, a więc nie istnieje! — tak sobie znów mówi po cichu, wtrącając, o dziwo, słowa angielskie. — Nie istnieć tu, w swojej Warszawie?! Oni wszyscy się go nie boją, ani się wobec niego nie krępują, bo wiedzą, że jest nierealny, że nie ma wpływu na ich tutejsze życie. Jedna Mariola się nim interesuje, bo chce stąd uciec, on jest dla niej ważny, jako łącznik z Tamtym Brzegiem. Dla innych Dolenc nie istnieje, jest tylko cieniem przeszłości, wie o tym od początku obecnego pobytu. „Cienie przeszłości” — był taki film. Ulotne figury, odbicia figur na ekranie! Więc on jest już tylko czymś takim?!

— Zaistnieć, trzeba zaistnieć! — mówi sobie. — Trzeba coś zrobić, żeby tu znowu zaistnieć! Ale co?! Może to właśnie, co proponował mu Józio Muzyczek, obecnie Joseph A. Murchison? Trochę to wprawdzie po filmowemu głupie, ale Ameryka to przecież kraina filmu. Mniejszy tam znacznie przedział między filmem a rzeczywistością niż tutaj, w Warszawie...

Parę dni temu Dolenc wybrał się do kina „Palladium” na Złotej na amerykański film kowbojski. Kino przypominało trochę przedwojenne warszawskie czasy, ale film wcale do otoczenia nie pasował. Gdy Dolenc wyszedł na ulicę, uderzyła go dookoła dziwność — po-

wietrze jesienne dziwne, ulica dziwna, przechodnie osobliwi. Dwa różne światy...

Chce na nowo pomyśleć, jak to trzeba będzie coś zdziałać, aby zaistnieć, lecz w pewnej chwili, w ułamku czasu wie już, że nie pomyśli. Niczego już dzisiaj samodzielnie nie pomyśli, bo będzie ukarany. Przekroczył oto podstawowe przykazanie generała Kaira, zapomniał się, zagubił w myślach. Szedł mechanicznie po szeleszczących liściach, po słonecznej smudze między drzewami, owym uspokajającym leśnym duktem. Szedł, zapominając dokąd i po co, zaniedbał elementarną czujność. I oto zaskoczyli go!

Stoi przed nim dwóch — jeden tęgawy, z małym wąsikiem, bez kapelusza, w szarym prochowcu. Drugi wyższy, wymoczek, też z wąsami, w czapce cyklistówce, jak z francuskiego filmu o gangsterach. Obaj mają taki sam uśmieszek — przymilnie bezczelny, zimno obraźliwy.

Z boku coś się rusza. Dolenc patrzy: tam stoi wielki, gruby facet, w kapeluszu brązowym, jak grzyb. Za nim, między drzewami coś prześwituje — to samochód. I jeszcze coś więcej się tam rusza...

Wściekłość na siebie samego porywa Dolenca. Dać się tak zaskoczyć, jak dzieciak. On, porucznik Kwaśny!

Usiłuje wyminąć, udawać, że wymija dziwnych panów, lecz oczywiście bez rezultatu. Zastępują mu drogę, zaglądają natrętnie w oczy, śmiejąc się bezczelnie.

— Dokąd to obywatelu? — pyta ów grubszy typowym warszawskim dyszkantem. — Przepustkę obywatel posiada, że się tak wybrał na spacer? I to w takie miejsce?

— Tu teren specjalny, kolego — dodaje drugi. — Tu się nie wałęsamy na pewniaka, jak na Marszałkowskiej przed hotelem „Forum”.

— I dziewczynę żeście gdzieś zostawili, taką ładną

dziewczynę — kwili teraz pierwszy, jak dziecko. Ładnie to samemu po terenie wojskowym się włóczyć? Dziewczyna upieści, obroni, a bez niej co?! Uzębienie można stracić, w mordę dostać i jeszcze gorzej! I co pan na to, panie Amerykanin?!

Dolenc myśli, że tu chyba nadgorliwość, że nieporozumienie. Właściwie tylko chce tak myśleć, a gdzieś pod czaszką wie, że to nieprawda. — Jestem zaproszony do sztabu — mówi nie wierząc w sukces. I rzeczywiście. Z boku dochodzi basowy śmiech: to ten wielki w kapeluszu szczerzy zęby, aż sztuczne złoto miga w słońcu.

— Zaproszenie pan ma na piśmie?! I od kogóż to, z ambasady? A może od generała?! Radzieckiego na przykład, szanowny panie...

Nie trzeba wsypywać majora Wacka — myśli Dolenc. Nie podejmować dyskusji, skoro już tak głupio się wpadło. Robi ruch, żeby się wycofać, ale wymoczek podstawia mu z tyłu nogę, po czym obaj błyskawicznie chcą go złapać z dwóch stron pod ręce. Jednakże Dolenc jest szybszy, zna takie jedno mordercze uderzenie, kantem dłoni w grdykę. Aplikuje je wymoczkowi, ten łapie się z charkotem za głowę. Drugi, zaskoczony, puszcza ramię Dolenca, który rzuca się do ucieczki.

Oczywiście — nie na wiele to pomaga. — Trzymaj skurczybyka! — woła wielki kapelusznik, zaśmiewając się przy tym całą gębą — tak mu wesoło. Naraz ktoś wypada z boku, zabiegając Dolencowi drogę — nie ma nawet czasu zobaczyć, kto to taki. Dolenc chce go kopnąć, lecz wcześniej sam dostaje kopnięcie w podbrzusze. Rozrywający trzewia ból zmusza do zatrzymania się, a wtedy spada nań jakiś ciężar, ruchliwy, przemożny...

I oto nagły cios w szczękę, potężny lecz i wybawieliński. Bo po nim już tylko czarność, bezruch, zobojetnienie. Dolenc jakby był poza samym sobą, wie nawet poniekąd co z nim robią. Włoką po ziemi, wciągają

chyba do auta, gdzieś wiozą. Słyszy również głosy, niższe i wyższe, grubsze i cieńsze, także śmiech tubalny, znajomy, skądś znajomy. Wreszcie wszystko zanika, Dolenc śpi.

Budzi się w bezruchu: leży, nad nim niebo, refleks słońca przedwieczornego, odbitego od jakiejś szyby. Potem niebo zasłaniają duże pochylające się nad nim wąsate twarze. Słyszy znowu głosy, na przemian, jeden dyszkant bezczelny, drugi matowy, bardziej obojętny.

— Widzisz frajerze — ubolewa dyszkant — po co ci to było?! Tak się kończy, jak ktoś wsadza nos, gdzie nie potrzeba. Nosa mu przytną i potem jęczy. A sam chciał.

— I od dziewczyny się odwał, od naszej dziewczyny — drugi głos pochodzi od owego wymoczka, jest matowy, obojętny. — Uderzyłeś mnie, chamie, i za swoje dostałeś. Ale jak się nie odpieprzysz od dziewczyny, od Marioli, rozumiesz, to tak dostaniesz, że nie przeżyjesz. I nic ci nie pomoże, rozumiesz?!

— Twoi Amerykanie też nie — dodaje dyszkant. — Zrozumiałeś? No powiedz, że zrozumiałeś! Mów już, do cholery!

Dolenc próbuje coś powiedzieć, ale usta ma dziwnie zablokowane. Choć chce wrzasnąć wściekle, wychodzi mu tylko jakiś skrzek.

— Ale go wzięło! Leż tak do usranej śmierci! A jak przeżyjesz, możesz sobie pójść. Tylko pamiętaj, coś usłyszał! To nie są żarty, jeszcze się do ciebie wróci.

Odchodzą, skrzypią i piszczą butami, potem odjeżdżają samochodem. Dolenc leży, ale przynajmniej teraz wie, że leży i że niedługo wstanie. Czas się skraca i wydłuża, rozszerza i zwęża, zmienia wymiary jak jakiś boa dusiciel. Kiedyś tam Dolenc zaczyna odwracać się na bok, kiedyś tam później opiera się na rękach. Ból doń

powraca, wędruje mu po całym ciele. Ale jest też dziwne uczucie w ustach. Jakby zakneblowanie, zatkanie, znieruchomienie. Nie może ruszyć wargami, ani rozewrzeć szczęk. Podnosi rękę do twarzy, czuje niby ból, ale inny. Próbuje rozewrzeć usta, choćby siłą, i nagle rozumie: to proteza. Sztuczne zęby w górze, na przedzie, wsparte na przemyślnie osadzonym mostku, równie sztuczne podniebienie. Wszystko rozwalone!

Dolenc zapomniał, że je ma, teraz sobie przypomniął. Długo grzebie w ustach, ból nim targa, wreszcie siłą coś wyszarpuje. Drży z owego bólu, upokorzenia, wściekłości, szukając jednak koło siebie, macając po ziemi. Leży bowiem na mokrawej, rzadkiej trawie, w jakimś opuszczonym ogródku. W końcu zebrał szczątki protezy, powbijane w dziąsła, ale brak dużego kawałka, drut odłamany kłuje, a teraz już pusta, bolesna jama w ustach — i jęk, seplenienie, gdy próbuje coś powiedzieć. Po angielsku próbuje...

Długo jeszcze leży, przeczekując nawrót bólu, wreszcie wypęłza mozolnie, nie wiadomo skąd, powoli, na czworakach, potem równie długo wstaje na nogi. W końcu, chwiejąc się, trzymając chropowatej, gwoździami sterczącej ściany jakiegoś baraku, wychodzi z opuszczonego ogródka na równie opuszczoną uliczkę.

Cóż to za uliczka, niewybrukowana, na niej domki krzywe, bezludne, drewniane. Jak w Pacanowie czy Grójcu przed wojną. Ale coś to mówi Dolencowi. Wspina się w narastającym nagle zmroku na połamaną drabinkę, aby dojrzeć pół stłuczoną, starą szklaną klatkę z numerem domu i nazwą ulicy. I naraz rewelacja: napis jeszcze po rosyjsku, ulica „Brzeskaja”. A więc Brzeska, na dalekiej Pradze. Bywał tu niegdyś, w jakże starych czasach.

Nagle kojarzy: tu gdzieś jest Dworzec Wschodni, tam tramwaje, pociągi Linii Średnicowej, można doje-

chać do Śródmieścia, jak jechał raz, od Henka, pod hotel. Lecz oto kojarzy i rzecz drugą: w kieszeniach nie ma nic, ani portfela, ani paszportu, ani pieniędzy. No tak, no tak!

Tyle, że w kieszonce brudnego teraz, zachłapanego płaszcza telepie się jeszcze parę złotych. Będzie na tramwaj, z opuszczonego krańca Pragi do Centrum. No tak...

IX. KRAJOBRAZ PO BITWIE

— Aleśmy im dali! Tak powiedział przed wiekami, bo w październiku 1939 do Dolenc pewien muzyk pijaczyna. Spotkali się na szczycie wielkiej góry cuchnącego gruzu, która po wrześniowych bombardowaniach piętrzyła się na rogu Nowego Świata i Świętokrzyskiej, tam mniej więcej, gdzie dzisiaj stoi kawiarnia „Nowy Świat”. Gruz składał się z przeróżnych elementów, z cegieł, szkła, odłamków tynku, splątanych kabli, rur, z tego wszystkiego, co stanowi wnętrze miejskich domów. Widzieć wnętrze, rzecz to niecodzienna, lecz milczący ludzie, wędrujący poprzez wydeptaną na przełaj, stromą ścieżynkę, nie zdawali się niczym interesować. Po prostu szli jak po chodniku. Dopiero na samym szczycie młodziutki Dolenc zderzył się ze znajomym rodziców, muzykiem pijaczyną nazwiskiem Popławski. — Aleśmy im dali! — powiedział tamten bez uśmiechu, zataczając wkoło szerokim gestem. Wódą od niego oczywiście zajeżdżało, choć skąd ją wziął w Warszawie po oblężeniu — oto tajemnica stołecznych pijaków!

— Aleśmy im dali! Ten ponury żart wbił się Dolencowi w pamięć jako symbol Warszawy, która zawsze najpierw zrywa się po bohatersku do walki, a potem okropnie dostaje w skórę. Po co więc było walczyć —

pytają prostoduszni cudzoziemcy. Nawet Diana o to pytała, mimo iż wielokrotnie robił jej wykłady na temat konieczności i moralnej wartości beznadziejnego choćby oporu. A wczoraj?! Uległ bez walki, dał się wziąć jak dzieciak. Skutki wiadome. — Aleśmy im dali!

W nocy spał mało, rozważając różne, jak teraz mawiano w Warszawie „aspekty” swej porażki. Kto to wymyślił, jak do tego doszło?! Łatwo sobie wyobrazić, Joe Muzyczek-Murchison pokiwałby głową nad klęską, poniesioną zanim jeszcze cokolwiek się zaczęło. Mój Boże, cóż za niedojda z porucznika Kwaśnego! We własnym mieście...

Porażka fizyczna była wszechstronna. W nocy chwycił go torsje, poza tym ciągle próbował mówienia, to po polsku, to po angielsku, ale bez przednich zębów wychodziło dziwacznie, jakby szeptał w jakąś akustyczną próżnię. Kto i gdzie zmajstruje mu nową protezę? Nie łudził się, żeby mogło to być tutaj łatwe, nawet nie biorąc pod uwagę pieniędzy. Forsę mu zabrano, ale w schowku walizki ma zamaskowaną zapasową książeczkę czekową. Sprawdził, że jest, od razu wczoraj, gdy wśliznął się na górę, ukrywając przed recepcją swój zaszargany płaszcz i dziurę w pysku. Ale tych czeków nie da się zrealizować bez pośrednictwa Ambasady, trzeba też zameldować o utracie paszportu... Ale Murchison mówił... Ale Carter się zgłosił... Ale Gene Harrison, *attaché* handlowy... Więc może...

Nagle telefon przy łóżku dzwoni ostro. Dolenc przypomina sobie, że dzwonił tak kilkakrotnie w nocy i nikt się nie odzywał. Po prostu wibrująca cisza w słuchawce, cisza wieloznaczna. Chciał nawet zatelefonować do recepcji czy centrali z awanturą, ale zabrakło mu energii i nie chciał gadać bezzębnie. Zresztą i dawniej takie telefony się zdarzały.

Dzwoni przenikliwie, Dolenc w końcu łapie słuchawkę. Gdzieś w oddali brzmi nieznajomy, obojętny głos.

— Będzie mówił major Michalak. Dolenc nie wierzy uszom — tego się nie spodziewał. Człęk niepewny...

— Dzień dobry panie Dolenc, tu Michalak. Więc nie przybył pan do nas wczoraj! A czekaliśmy...

Bezczelny, podstępny czy naiwny i w ogóle nic nie wie?! Dolenc nie miał czasu przemyśleć tej sprawy, a tu trzeba reagować i to szybko. W dodatku jak tu ukryć kompromitujące, bezzębne seplenienie? A jeśli tamten coś wie... A jeśli wie wszystko?!

— Przepraszam, źle się trochę czułem — mówi, starając się nadać głosowi nieistniejącą głębię.

— Szkoda, żeście nie zadzwonili, generał się nawet o Was pytał...

Prawda była! — myśli Dolenc. I gdzieś tam odzywają mu się echem słowa Józia Muzyczka: „Nam potrzeba informatorów stałych, zaufanych... im wyżej umieszczonych, tym lepiej... patriotów polskich...”. Bagatela, potrzeba im! I po cholere?! Idiotom, co oddali sowietarzom pół Europy!

Spławia szybko majora, zapewniając, że niedługo zadzwoni. Tamten udawał Greka, czy nie? O tej sprawie Dolenc postanawia pomyśleć później. Na razie leży dalej, połowicznie konstatuując, że na dworze jest znowu piękna pogoda, o czym świadczy zaglądający do okna kawał błękitnego nieba. Kawał i strzępek zarazem, bo okno półprzysłonięte, ale jest to przecież bardzo wysoko — na dwudziestym piątym.

Konstatuje rzecz połowicznie, a raczej jeszcze mniej-szym ułamkiem świadomości, bo centralny „wydział” mózgu i organizm psycho-fizyczny pracują nad innymi problemami. Przede wszystkim głodny jest, aż mu się w głowie kręci. Dobrze to, dowodzi, że organizm nienaruszony, ale rzecz nastrocza problemy. Można, owszem, zadzwonić, żeby przynieśli śniadanie. Włączy do rachunku, bo złotych Dolenc nie ma już wcale. Co prawda i dolarów *cash* nie ma, wszystko mu wczoraj zabrali,

agenci czy oprychy, właściwie bez znaczenia... Co za różnica zresztą! Ci sami.

Inna rzecz, że z pieniędzmi „nie ma sprawy”. Pan Marian z „Metropolu” natychmiast go poratuje, jak mu się pokaże książeczkę czekową. Zresztą i bez tego go poratuje — wie, że ma do czynienia z solidnym klientem. Tylko kiedy wypada jego dyżur?

Mniejsza, to się załatwi. Gorzej z paszportem. Czy może Dolenc kursować po Warszawie bez dokumentów, bez paszportu i wizy?! Trzeba zameldować w Ambasadzie, w konsulacie, trzeba zameldować na milicji. Ale co zameldować? Że mu skradziono?! W jakich okolicznościach, jeśli łaska? Gdzie? I co on tam właściwie robił?! Czy ma wkopać majora Wacka, czy też major, „niebezpieczny”, o wszystkim wie lub w ogóle z góry wiedział?

A co z milicją? Wizę ma Dolenc na trzy miesiące, tak czy owak niedługo musiałby iść do Pałacu Mostowskich, spotkać się z Bładym Człowiekiem. Ale co mu opowiedzieć teraz, zwłaszcza, gdy wiadomo, że on prawie na pewno stoi za tym wszystkim. To przecież musieli być agenci Bezpieki, nie ma nad Wisłą amerykańskich gangsterów. Mówili o Marioli, ona też agentka, tyle, że chce ich zdradzić, odbić się od stada. Oni o tym oczywiście wiedzą, stąd cała draka. Nie chodziło chyba o Josepha A. Murchisona, o tym nikt wiedzieć nie mógł. Chodziło im o babę, w którą się Dolenc bezsensownie zaplątał. Choć oni mu ją umyślnie nasłali, ale poszła za daleko. A uczył go pułkownik Niemen, czyli generał Kair, żeby nie mieszać tych dwóch rzeczy...

Po cóż więc meldować coś Błademu Człowiekowi, skoro on o wszystkim dobrze wie, bo całą rzecz sam namotał? I po cóż się zgłaszać do monumentalnego Pałacu, jeśli sam szef czuwa tutaj, piętro niżej, w zamaskowanym pokoju 2407? Wystarczy przecież...

A co do majora Wacka, to jednak trudno uznać, że

tak na pewno i absolutnie „plasuje” się on poza całą sprawą. Bo przecież znał Mariolę, dobrze ją znał. Świadczy o tym owa bezsłowna scena w hotelowym hallu, wtedy, gdy wrócili z daczki Henka z podwarszawskiego lasu. I jej przestrzegające przed nim słowa! A więc...

Telefon znów dzwoni! Dolencem aż zatargało, choć przecież nie jest nerwowy — tak przynajmniej uważał, po wszystkim, co przeżył. Teraz to już na pewno Człowiek z Pałacu się odzywa.

Lecz w słuchawce brzmi jeszcze raz obojętny głos recepcjonistki: — Tu gość do pana. Oddaję telefon. I za chwilę nosowy głos z silnym amerykańskim akcentem anonsuje po polsku: — Mówi David Edward Carter z ambasady amerykańskiej. Czy mogę teraz przyjść do pana do pokoju?

Masz diable! I znów ostentacja, i znów po polsku, przy ludziach, przy podsłuchach! Dolenc potwierdził odruchowo, teraz żałuje. Nie jest wszakże do rozmowy przygotowany, brak mu tych przeklętych zębów, tkwi w pidżamie, choć to już wpół do jedenastej. I pewno widać po nim, co było wczoraj... A pustka w brzuchu staje się nieznośna! Błyskawicznie usuwa ze stolika resztki nieszczęsnej protezy, porządkuje to i owo, przegląda się w lustrze. Diabli nadali natręta, bez telefonu, o tej dziwnej porze! Więc to jest ów, według słów Murchisona, „kontakt z ambasady”, który „sam się do pana zgłosi, a jak się nie zgłosi, nie ma zmartwienia”. Bodajby rzeczywiście się nie zgłaszał, przynajmniej w tej ostentacyjnej formie. Chociaż może jego przyjście ułatwi sprawę, może uda się przez to uniknąć własnej tamże wizyty?

David Edward Carter to człowiek jeszcze młody, trzydzieści parę lat chyba, bardzo wysoki, czarnowłosa, o typie południowca. Dolenc założyłby się, że można by z nim rozmawiać po hiszpańsku, ale tamten upiera się mówić po polsku, ze swym mocno komicznym akcentem i dziwaczną nieco składnią. Dolenc daje mu poro-

zumiewawcze znaki, zagaduje po angielsku, tymczasem gość swoje, nie ma na niego rady. Snuje nosowym, tenorowym głosem, na Dolencą prawie nie patrzy.

— Radzi jesteśmy pana tu widzieć w Warszawie. Pan ambasador też bardzo zadowolony.

— *Welcome sir, glad to see you'* — usiłuje Dolenc. Ale nic z tego. Tamten jakby nie rozumiał. Ani angielskiego, ani sytuacji.

— Wszyscy cieszymy się, że pan przybył — ciągnie niezrażony. — Już długo tu pańskiego pobytu. Jak długo?

— Będzie ze dwa miesiące, nie, sześć tygodni. *Two months, no more. It is not much...*

— To jest niedługo i długo, panie Dolenc. My lubimy myśleć... My zwyczajnie pomyśleliśmy, pan tu jest długo, może za długo, jak dla pana... Jak na pana. Pan ambasador myśli, a i ja również. Trzeba zrozumieć... Chcę wyjaśnić, przyszedłem, przyszedłem wyjaśnić sprawę...

— Jaką sprawę, o co chodzi?! Dolenc nastawia uszu, zaalarmowany. Czyżby te dudki coś zwęszyły?

— Ważną sprawę, sprawę pana pobytu, panie Dolenc. Pan ambasador nic nie wiedział o celach pańskiego pobytu. I tu przychodzi sprawa pani... uhm, uhm — panny Wiśniewskiej.

— Wiśniewskiej?!

— Tak. Jej imię jest Mariola.

Tędy cię wiedli. Dolencą zaraz po warszawsku krew zaleje, czy po prostu szlag trafi. Obserwowali go — co za bezczelność! Jak to zrobili?! Ale opanowuje się jeszcze. Więc Mariola... Wiśniewska... — Nie rozumiem, o co chodzi — mówi najzimniej jak potrafi.

— Pan nie musi rozumieć — tamten na to. — Pan ambasador sobie nie życzy... Tu w Warszawie mamy swoją politykę... Pan ambasador chciałby widzieć, pan wyjeżdża. Pan wyjeżdża, jak najprędzej możliwe...

Dziesięć minut Dolenc dusi się z wściekłości, wyprosiwszy przedtem tamtego z pokoju — po angielsku tym razem. Bezcelność! Sam wyjaśni panu ambasadorowi co trzeba i kiedy trzeba! Jest wolnym człowiekiem, wolnym obywatelem USA. Wyprasza sobie...

Oddycha z trudem. A więc to nie był kontakt, to zwyczajny idiota, jakich pełno po ambasadach. Ale skąd wiedział, jak śmiał?! Trzeba sprawę wyjaśnić.

Przedtem jednak załatwić musi te przekłete zęby, diabli wiedzą jak. Kto mu pomoże, Irena? Nie, to byłby wstyd i komplikacje. Aha, Norcio, oczywiście Norcio! Stary jak świat, po mordzie brał nie raz, na pewno ma wszystkie zęby sztuczne. Przy czym uczynny bardzo, choć wariat. Ale Norcio nie ma telefonu, trzeba do niego iść. Jednakże przedtem coś zjeść...

Norcio jak Norcio, usłużny, rozumiejący, czuły, tyle, że zwariowany. Choć właściwie, myśli sobie Dolenc, nie taki zwariowany, jak mógłby być, po wszystkim, co przeżył. Człowiek, który przez pięć lat nosił w swej twarzy śmierć, wystawiając tę śmierć nieustannie na publiczny widok. Żydowska straszna śmierć wymalowana na twarzy i nie ma dokąd uciec: wszędzie Niemcy, w całej Europie. Pułapka bez wyjścia!

Więc Norcio bardzo ludzki, dyskretny, pojętny. Naprawianie czy przerabianie twarzy — rzecz mu oczywiście znajoma, jak jeszcze. Tylko że... — Widzisz mój drogi, dzisiejsza Warszawa, komunistyczna Warszawa, komunizm w ogóle i życie w komunizmie...

Tu Norcio opowiada różne anegdotki, mające odmalować materialno-techniczną stronę życia w komunizmie. Że na przykład prostytutka w Moskwie kosztuje tysiąc dziesięć rubli: ona dziesięć, a prezerwatywa tysiąc. Albo, że na miejsce nauki jak gotować bez tłuszczu wprowadzono tam kurs srania bez jedzenia. Potem rozwiódł się długo na temat dokonanej w Polsce zamiany samochodów osobowych w „go carty” czy „hulajnogi”. Jakiś

warszawski minister Wrzaszczyk wymyślił mianowicie dla klasy robotniczej, czy, jak mówiono urzędowo, „dla ludności”, najmniejszy i najbardziej niepraktyczny samochód świata, na drogiej licencji włoskiej. Z samochodu tego wszyscy pękają ze śmiechu, tak w kraju, jak i za granicą, jednakże produkuje się go uporczywie w Tychach i wmawia ludziom, którzy mimo kpin i złorzeczeń czekają nań w wielomiesięcznych kolejkach, bo tu kupuje się wszystko, co wyprodukowane — bez wyboru. „Ludzie to lubią, ludzie to kupią. Byle na chama, byle prędko, byle głupio!” — jak mówiła śpiewana przed laty w studenckim kabarecie piosenka.

Wszystkie te Norciowe historyjki miały na celu wykazanie Dolencowi, że szybkie i solidne wykonanie zębowej protezy jest w Warszawie sennym marzeniem, rojeniem idealisty, oderwanego całkiem od życia i jego praw. Jednakże Dolenc, zdając sobie całkowicie sprawę z absurdalności bytowania w kraju, gdzie minister decyduje o wielkości czy małości samochodu, nalegał uporczywie. Seplenił przy tym i gwizdał przez dziurę w zębach, co było ważnym argumentem, choć Norcio nie dopytywał się, w jaki sposób utracona została solidna, amerykańska proteza (tu wszyscy bardzo wierzą w Amerykę).

Ważkim argumentem były też pieniądze. Dolenc wspominał coś nawet o dolarach. Nie miał ich wprawdzie w ręku, ale załatwił sobie potwierdzenie i realizację czeków przez Gene Harrisona. Pójdzie w tym celu do ambasady, pomijając oczywiście idiotę Cartera. W tym celu i w kłopotliwej sprawie paszportu.

Na razie dysponował już złotówkami: nieoceniony pan Marian z „Metropolu” wyjął od razu z portfela pięć „patyków”, nawet nie rzuciwszy okiem na pokazywaną przez Dolenca książeczkę czekową. Wybitny to człowiek, ileż prawdziwych talentów marnuje się w tym ustroju!

Wreszcie Norcio dał się złamać i przypomniał sobie,

że ma znajomego dentystę, który robi protezy. Ale Norcio ostrzega, że praktykę prywatną uprawia ten człowiek potajemnie, bo mu nie wolno i że zgodzi się tylko po uprzedniej telefonicznej rekomendacji ze strony tegoż Norcia. Poszli więc do najbliższej budki telefonicznej na Świętokrzyskiej, lecz tam aparat, jak to często w Warszawie, był nieczynny, choć monety łykał i nie oddawał. W końcu jednak dodzwonili się z pobliskiej Poczty Głównej.

Siedząc tegoż wieczora u owego konspiracyjnego dentysty Dolenc znowu ma uczucie, że znajduje się w najdziwniejszym miejscu świata. Poczekalnia jest maleńką, ciemną dziuplą, gdzie z trudem stłoczyłyby się trzy osoby, pracownia dentystyczna nie o wiele większa, w niej ściśnięte jak w beczce przeróżne lśniące metalem przyrządy. Lecz już po paru minutach Dolenc przekonywa się, że doktor, mały siwawy człowieczek, to znakomity, świadomy rzeczy fachowiec, „złota rączka”, a i aparaturę ma arcynowoczesną. Tyle, że musi się ukrywać ze swą praktyką, bo prywatnych teraz niszczą i likwidują. Wiadomo — socjalizm.

Pan Doktor konspiracyjnym szeptem wymienia sumę trzech tysięcy złotych za wykonanie protezy w ciągu dwóch dni. Dolenc uśmiecha się w duchu, bawi go ostrożna szczupłość sumy. Cóż za ustrój, coś za kraj! Jego własny przecież, a jakże obcy.

Obiad złączony z kolacją zjada w śmierdzącym samoobsługowym barze „Zodiak” w pasażu na tyłach Ściany Wschodniej. Jedzenie bez zębów nie nadaje się do publicznych pokazów...

Gdy wchodzi wreszcie do oświetlonego osobliwie zielonym półksiężycem pokoju, okazuje się, że telefon znowu dzwoni. Ależ powodzenie! — myśli, podnosząc słuchawkę.

— Dolenc? Jak się masz, tu mówi Michał.

Michał, co za Michał?! Jednakże głos jakiś znajomy.

— „Księgarz” — pamiętasz przecież. Henek mi mówił, że jesteś. Kopę lat!

Oczywiście, to Michał Toporowski. Ten, co przeszedł do komuny. Kiedyś ich człowiek, jak najbardziej, w komórce N oddziału IW, tak jak i „Kwaśny”. Jeden z najdzielniejszych, ten co sam zabił skrzypka-kapusia w volksdeutschowskiej knajpie. Potem był nawet w „Sprzeciwie” u Kaira — tam brali najlepszych. A w końcu podobno przeszedł do Ruskich, dzisiaj czerwony redaktor. Więc i on wyniuchał Dolencę w Warszawie — to ci dopiero!

— Towarzystwo nam się powiększa — myśli sobie Dolenc, umawiając się z nim na termin za trzy dni. Ale to umówienie nie jest złe — dla podsłuchu, który na pewno pracuje teraz jak diabli.

X. DYSPUTY, ODBŁYSKI I ZNOWU MARIOLA

Dolenc ma już wreszcie nowe zęby. Swoje, nie swoje — na pewno swoje, bo zapłacone — ale jeszcze się do nich nie przyzwyczał. Jak i do równie nowej swej sytuacji — człowieka bez pieniędzy i bez paszportu, w mieście, gdzie każdy na jego widok wie natychmiast, że on jest nie stąd — choć, jak na złość, był właśnie całkowicie stąd. Na Zachodzie w głowę by się pukano na wiadomość, że o możliwości istnienia, poruszania się, rozmawiania czy załatwiania czegokolwiek decydować może papier, zwany paszportem, albo numer, czyli meldunek. W Stanach w ogóle się nie meldowano, miliony ludzi wędrowały po olbrzymim kraju, przenosząc się tu czy ówdzie, bez czyjejkolwiek o tym wiedzy. Ba, w Stanach... Dolenc łapie się już na tym, że tamto uważa za nienormalne, a to tutaj za normalne. Bo normalne jest to, co gorsze i głupsze, a nienormalne to, co lepsze i mądrzejsze. Lecz czy naprawdę Amerykanie są mądrzejsi? Można by mieć wątpliwości, zwłaszcza po ostatniej, na szczęście jedynej wizycie Davida E. Cartera.

Ten „kontakt” więcej się już nie pojawił, ale życie nie szczędzi teraz Dolencowi niespodzianek: przedtem mógł się skarżyć na pewną monotonię, teraz już nie.

Jedzie sobie na przykład najspokojniej windą na

swoje dwudzieste piąte pięterko, gdy oto megafon w tej-że windzie — są tu takie nowoczesne sztuczki, a jakże — ogłasza, że pan Franciszek Dolenc z pokoju 2507 oczekiwany jest w hallu na parterze. Megafon ogłasza rzecz zapewne całemu światu, bo hotel „Forum”, co już wiadomo, zradiofonizowany jest dokumentnie, od góry do dołu, wszerek i wzdłuż. A niech to wszyscy diabli!

Dolenc zjeżdża więc z powrotem do owego przestronnego lecz przytulnego westybulu, gdzie na bazaltowej posadzce i czerwonych dywanach, pod złocistymi, świetlnymi szyszkami drzemą dostojne klubowe fotele. Z jednego z nich podnosi się facet wysoki jak sosna, figurę ma młodzieńczą, choć czupryna siwa. Któż to taki?!

— Czołem, Kwaśny — mówi tamten. — Poznałem cię od razu. W końcu ludzie zawsze się gdzieś spotkają, nieprawdaż? A zwłaszcza w Warszawie.

No tak, to jest Michał Toporowski, „Kocur”, „Księgarz”, oficer komórki „N”, potem działacz „Sprzeciwu” i stworzonego przez pułkownika „Rejenta” WiD-u („Wolność i Demokracja”, któż by zapomniał), wreszcie pono zdrajca, zaprzaniec, komuch! Wygląda doskonale i elegancko. Ale przecież umówili się całkiem kiedy indziej.

— Nie mogłem w czwartek, więc pomyślałem, że przyjadę dzisiaj, wziąć cię na obiad, jeśliś jeszcze nie jadł. Na górę jechać nie chciałem, może masz dziewczynę u siebie, diabeł cię wie — podobno ci się zdarza... Mam tu auto, pojedziemy do „Świerkowej”, do Konstancina, tam się nieźle jada. No co, gra?!

Jednym Dolencowym uchem wpada aluzja do dziewczyny, co to się „zdarza”, w ułamku świadomości pojawia się też myśl, że świnia Michał mógł być go zaskoczyć bez zębów, i co by wtedy było?! Ale w końcu, czemuż by nie pojechać do Konstancina, tą samą trasą, gdzie

parę dni temu... Szczęka go już nie boli, twarz wygląda zupełnie normalnie, więc?

Konstancin obsypany dzisiaj kolorowymi liśćmi, w tej jesiennej dekoracji dobrze się prezentują zarówno pałacyki dyplomatów jak i rozsypujące się ze starości i braku remontów przedwojenne wille zamożnych ludzi, gdzie dziś tłoczy się po parę rodzin. Michał ma jakieś bardzo szybkie niemieckie auto, prowadząc mówi bez przerwy, nie czekając na odpowiedź. „Świerkowa” to banalnie stylizowana na góralską ludowość knajpa, ale je się tu nieźle i ludzi sporo. Michał zamawia z gustem trunki i jadło, apodyktyczny przy tym jak diabli. I mówi, mówi...

— Pewno ci tu dziwnie, Kwaśny, po tych latach? Całkiem inne stosunki polityczne, społeczne, psychologiczne. Moje dzieci pojęcia już nie mają o wojnie, nie wiedzą co to „KA”, „WiD”, o żadnym już „Sprzeciwie” nie wzmiankując. Ale to dobrze, że nie wiedzą, to zdrowiej...

— Zdrowiej? Nie znać własnej historii to zdrowiej?!

— Et, taka tam i historia! To nie była żadna historia, to tylko myśmy tak sobie uroili.

— Jak to, to i naszej walki nie było, i oddziału IW z grupą „N”? To może i „Księgarza” nie było ani „Kocura”?!

Tamten ze smakiem dokłada sobie doskonałych tutaj zrazów z pływającą w sosie czarną kaszą, ze smakiem żuje długo tłusty kąsek, ze smakiem też delektuje się demonstrowanym trochę na pokaz patriotycznym zgorzeniem Dolenca.

— Widzisz, mój drogi, to jest tak... Ciągłe jakiś kolega z KA umiera, a w nekrologach mnóstwo wojskowych tytułów, bojowych i konspiracyjnych pseudonimów, pochwał, zaszczytów — to teraz wolno, nawet dobrze widziane... Ten był w „Parasolu”, tamten w

„Baszcie” czy w „Zośce”, trafiają się też zachodni spod Monte Cassino czy od Maczka, wieloletni więźniowie obozów, męczennicy. Wszyscy utytułowani i dekorowani, ten ma Krzyż Walecznych, tamten Virtuti czy Medal Wojenny, same majory, pułkownicy, rotmistrze... A ja się pytam, skoro wszyscy oni tacy dziarscy, bohaterowie, kozacy, to dlaczego wynikło z tego tylko „przesławne lanie”, dlaczego politycznie psu na budę się to nie przydało?! Wiesz dlaczego?

— Bo to nie była historia, choć nam się tak zdało. Myśmy w historii świata już po wrześniu 39 udziału nie brali — nasz udział to była polityka Becka a potem te parę tygodni walki. Szczęście, że nie trwały dłużej, bo z kraju zostałyby miazga, proszek. Wystarczyło się bić do czasu wejścia Zachodu w wojnę. A już cała konspiracja, powstanie, WiD, to wszystko nie miało najmniejszego sensu, to była zabawa, dziecinna zabawa!

— Historia, mój drogi — Michał wciąż nasładza się bluźnierczym, gorszącym, jak sądzi, efektem swych słów — historia przeniosła się na pola bitew w Rosji, w pustkowia Rosji — tam się wszystko zdecydowało. Ci twoi Amerykanie niczego nie rozumieli, wybrali się do Europy na wycieczkę, myśleli, że wygrają wojnę dolarami albo na francuskich plażach. A wojnę wygrała na Wschodzie rosyjska krew. Czy nam się to podoba, czy nie, historia przeniosła się na wschód. I już po Europie — Amerykanie ją zdradzili, nabrali, oszukali a potem utracili. I nas wszystkich Zachód oszukał — i nasz rząd w Anglii też nas oszukał. A wiesz kiedy to zrozumiałem?

— Pamiętasz aresztowanie 16-tu? Tu, niedaleko, pod Warszawą? Ja wtedy zrozumiałem oszustwo. Mieliśmy w Londynie Rząd, Prezydenta, Sztab. Cały świat ich uznawał, zaszczyty zbierali. Ich psi obowiązek był zjechać do Polski, jak tylko weszli Rosjanie! Zamknęli by ich, wywieźli na Sybir?! W porządku, ale byłyby

wrzask, świat by się o tym dowiedział, przydaliby się do czegoś. A co oni?! Wysłali tamtych 16-tu, których nikt na Zachodzie nie znał, zasłonili się nimi jak tchórze, wysłali ich na bezużyteczną zgubę. Zamiast wejść w historię, uciekli z niej tylnym wyjściem — nawet Mikołajczyk w Moskwie słowem się o tamtych nie upomniał. No i co? Delegat i Generał zgnili w rosyjskich więzieniach. Bezużytecznie. Oszukano ich, tak jak i nas.

— Więc trzeba się było przyłączyć do tych, co naszych dowódców zgnoili w więzieniach?!

— Trzeba się było przyłączyć do historii. Trzeba włączyć Polskę do historii, od historii uciec się nie da!

— Ale nie każdemu udało się włączyć. Kaira rozstrzelali, zanim zdążył powiedzieć słowo.

— Kaira rozstrzelali przez tchórzostwo Polaków i przez niepoinformowanie Rosjan — ówczesne niepoinformowanie, wojna jeszcze trwała, dziś by się to już nie stało. Pułkownik „Rejent” ujawnił WiD, ale mądrze ujawnił: spalonych całkiem wysłał przedtem do Londynu, jako delegaturę zagraniczną, a innych ocalił — na tyle, na ile mógł. *A propos* — tyś też wyjechał z jego delegaturą?

Dolenc trochę się najeża: cóż to, wywiad czy co?! Mało, że się tamten popisuje cynicznymi herezjami, to jeszcze chce coś z niego wyciągać? Ale w końcu... Nie ma przecież Dolenc niczego do stracenia, nikogo nie wkopuje, sytuacja jasna. Więc mówi, że nie był wtedy związany z Delegaturą WiD-u, że działał w „N”, a potem w osłonie, a prysnął na własną rękę i odpowiedzialność. Co jest prawie że prawdą.

Zaczynają gawędzić o dawnych sprawach, Michał nieco pijany a Dolenc czujny, choć lepsze to na pewno teraz niż owa pryncypialna dysputa o historii. „Księgarz” zawiany roztacza wciąż swój pawie ogon bluźnierstw i paradoksów, zapomniał o otoczeniu, wokół przy stolikach coraz więcej ludzi, gwar, ruch, za oknem znikły

ostatnie promienie słońca, nadszedł jesienny zmierzch. Robi się polska rozmowa o starych czasach. O bohaterskich czasach, choć bohaterszczyzny owej dawny oficer podziemnego kontrwywiadu tak się dziś wyrzeka. Polska rozmowa o wojnie, której to wojny nie sposób zapomnieć, jakby była najszcześniejszym okresem życia. Ileż takich samych w istocie rozmów odbył Dolenc w Stanach ku irytacji Diany!

Nagle ktoś się kłania. Ktoś obrzuca ich długim spojrzeniem, idzie ku wyjściu, odwraca się jeszcze. Ktoś znajomy na pewno. Acha, to major Wacek w cywilu. Prawdopodobny sprawca całej historii z pobiciem, człowiek niepewny, „może być niebezpieczny”. Michał odprowadza go wzrokiem, potem konfidentycznie powraca do rozmówcy. — To major Michalak, syn Henka Michalaka. Pamiętasz Henka, także z „N”-u?!

— Oczywiście. Byłem u nich teraz.

Michał nagle płaska się w kolano: coś sobie uświadomił.

— No jasne, byłbym zapomniał! Ale z ciebie to numer!

— Bo?!

— Nie udawaj, odbiłeś temu Michalakowi dziewczynę. Ledwoś przyjechał i już... Gratulacje!

— Jaką dziewczynę?

— Nie udawaj, no taką... Mariolę. Chciał się przecie z nią żenić, to jego... Mniejsza z tym, kto ona jest, zresztą sam wiesz dobrze — lepiej nie gadać. Ale muszę cię zmartwić: nie byłeś pierwszy. I nawet nie pierwszy Amerykanin!

Ocho, uszy się Dolencowi wydłużają i rozwieszają — teraz się czegoś dowie! Żeby tylko nie spłoszyć Michała. Ale tamten jest już dostatecznie pijany. Wychyla jeszcze kieliszek i wcale nieproszony snuje historię, w swoim pojęciu nader pikantną.

Więc Mariola, znana w warszawskim światku czy

też półświatku („wiesz kim ona jest, nie będę mówił”) zamiast wyjść, jak Bóg przykazał, za majora Wacka, zagieła sobie parol na jakiegoś Amerykanina z ambasady, pierwszego sekretarza, mającego w dodatku żonę i troje dzieci. Żona zresztą była wtedy w Stanach, ale zaalarmowana przyjechała, zaczęła skutecznie przeróżne awantury. Zrobił się publiczny skandal, mówiła o tym cała Warszawa. W końcu ambasador się wściekł, a nie widząc innego wyjścia, zwrócił się do władz polskich o interwencję... No i władze dziewczynę odstawiły...

Tu nagle Michał zamilkł i z półotwartymi ustami jął się wpatrywać w Dolencę. Najwyraźniej zrozumiał, że za dużo powiedział i to nie do tego rozmówcy, co trzeba. Nic też więcej Dolenc z niego nie wyciągnął, zwłaszcza kim to właściwie jest Mariola i jak ją władze „odstawiły”. Ale i tego co słyszał wystarczyło do dzisiejszej z nią rozmowy.

Bowiem Mariola objawiła się wreszcie i to jak tylko wrócił do hotelu. Siedziała przy marmurowym stoliku pod złoto świecącym żyrandolem o kształcie szyszki, niedaleko wejścia do zielonego baru, gdzie widzieli się po raz pierwszy. Dolenc patrzy już na nią innym okiem: to nie byle kto, dziewczyna, która poruszyła i ambasadę wielkiego mocarstwa i policję zgoła mniejszego mocarstwa i polskie wojsko i diabli wiedzą kogo jeszcze. Nic dziwnego, że się jej ziemia pali pod nogami i chce wiać do Ameryki. A Dolenc miał być narzędziem — po Davidzie Carterze. To dopiero!

Daje jej znak, że za chwilę podejdzie i kieruje się do recepcji, spytać, czy ktoś się do niego zgłasza. Lecz tu niespodzianka — jeszcze jedna. Recepcjonista, człek dyskretny a przyjacielski, tym razem chłodny jest jak na pokaz. — Panie Dolenc! — mówi głośniejsz niż zwykle — dobrze, że pan się zgłasza. Szukam pana już od dawna. — Jak to od dawna, jestem przecież tu co dzień — dziwi się Dolenc, przeczuwając coś złego. Rzeczywiście,

tamten nie daje się zbić z tropu, ani sprowokować do uśmiechu. — O cóż chodzi?

— Chodzi o to, że pan wyczerpał już swój okres pobytu u nas, w „Forum”. Minęło tygodni...

— Jak to, płacę przecież dewizami, wykupuję przydział! Sądziłem...

— Nie, niestety, my stosujemy swoją rotację miejsc. A teraz właśnie mamy dwa międzynarodowe kongresy, które musimy obsłużyć.

— Kiedy?

— W najbliższym czasie — potrzebne nam jest całe piętro. Za dwa, trzy dni. Bardzo nam przykro.

„Rotacja” to było także modne teraz słówko komunistyczno-warszawskie. Dolenc jest wściekły, kierownik widzi to i w formie pociechy łagodząco dodaje: — Za okazaniem paszportu dostanie Szanowny Pan pokój w każdym orbisowskim hotelu w Warszawie. Przepelnienie jest, ale nie do tego stopnia, żeby...

Za okazaniem paszportu! Dobra pociecha, trzeba go najpierw mieć. Gdy rozzłoszczony Dolenc podchodzi wreszcie do Marioli, aby, jak się już utarło, zabrać ją na rozmowę do „Metropolu”, z długiej sofy przy ścianie podnosi się dwóch facetów. Twarze nieruchome, jakby skostniałe, wzroku napotkać nie sposób — typowe. Widzi ich Dolenc, widzi i Mariola. Pójdą za nimi dwójgiem trop w trop, w przesłoniętej nikotynowym dymem sali „Metropolu” siądą nie za daleko i, nic prawie nie zamawiając, tkwić będą przy swoim stoliku bez poruszenia, bez słowa. Cholera!

Dolenc aż zamurowało z wściekłości, a Mariola nie ułatwia wcale zadania. Długo przygląda mu się bez słowa. — Zmieniłeś się — mówi w końcu. — Czy miałeś przykrości?

— Miałem. I to przez ciebie. Dobrze wiesz, jakie!

Dolencem aż targa z gniewu, ale ona nie zwraca na

to uwagi. To jej skupione milczenie, jakże teraz irytujące!

— Przez twojego narzeczonego, majora Wacka, jak mu tam.

Ona milczy z urazą. — Nie mam żadnego narzeczonego — szepcze w końcu.

— A co wyrabiałaś z tym jakimś Carterem z ambasady?!

— Acha, powiedzieli ci już. No tak. Skoro jesteś z wywiadu... Zresztą i tak wszyscy wiedzą...

— Z jakiego znów wywiadu?!

— Pewno, że nie z polskiego.

Dolenc rozwścieczony mówi głośno, Mariola bardzo cicho, wskazując wzrokiem na owych dwóch przy stoliku. Oczywiście mogą mieć podsłuch: w ołówku, w scyzoryku, w zegarku — najnowocześniejszy. Na to to ich stać, a że w Polsce zjeść nie można ani do tramwaju się dopchać, to ich nie obchodzi. Wiadomo — komuna. Ona jedna się nie zmienia. Ale przecież i tak gra się już w otwarte karty i wszystko wiadomo.

— Kto ci napłótl o tym wywiadzie, pułkownik?!

— mówi rozmyślnie głośno. Ale ona, wierna swej taktyce, potakuje tylko ruchem głowy.

— Więc co wyrabiałaś z Carterem?!

— Nic nie wyrabiałam. Po prostu chciałam wyjechać.

— Czy śpisz z każdym, z którym chcesz wyjechać?

— Nie, nie z każdym.

Mówi to bez urazy, rzeczowo, po prostu informuje. Rozmowa urywa się, sala dalej wibruje szmerem rozmów, dym papierosowy snuje się od podłogi do sufitu i z powrotem. Tamci dwaj tkwią nadal nieruchomi jak mumie.

— Tematów do rozmowy jest setka, a tu nagle okazuje się, że nie ma żadnego. Zdesperowany wreszcie Dolenc zaczyna opowiadać o swoich kłopotach z hotelem,

pyta też Mariolę, czy nie urządziłaby go gdzieś prywatnie, gdyby nie dostał innego pokoju.

I oto nagle w niej następuje metamorfoza. Pryska gdzieś spokój, nonszalancja, zamyślenie, twarz zaczyna drgać. Zrywając się niemal z krzesła szepcze Dolencowi: — Zapłać i wyjdź na schody! Po czym znika w dziwacznie tu umieszczonych drzwiach do toalety.

Obaj panowie, tam przy stoliku, zdradzają również oznaki zdenerwowania. Za jakąś mizerną lemoniadę zapłacili od razu, nie mają więc z tym kłopotu. Tyle, że zwierzyna łowna rozdzieliła im się na dwa stada. Co tu robić?!

„Amerykanin” idzie ku schodom, tamci za nim. Nagle dopada go Mariola, gwałtownie pociąga na półpiętro, do małej niszy koło wielkiego lustra. I szepcze do ucha, gorączkowo, namiętnie. — Słuchaj — szepcze — to zły znak z tym hotelem! Pewno nie będę już mogła cię widywać! Jest tylko jedno wyjście. Niech wasz ambasador zażąda, żebym mogła z tobą wyjechać. Oni muszą go posłuchać, oni z wami się liczą. Ale koniecznie. I szybko. Pamiętaj: nie ma wyjścia...

Panowie bez twarzy są już przy nich, chyba jednak niczego nie słyszeli. Dolenc z Mariolą schodzą teraz do szatni, gdzie urzęduje dobrotliwy pan Marian. Ale z twarzy jego znika powoli dobrotliwy uśmiech — przyuważył tamtych i wszystko kojarzy. Dolenc wie, co to znaczy: musi się z nim prędko rozliczyć, bo przestaje oto być dobrym klientem. Inteligentni ludzie w tej Warszawie...

Z Mariolą na ulicy rozdzielają się bez słowa. Tamci też się rozdzielili, ten przeznaczony Dolencowi odprowadził go ostentacyjnie do samej windy.

Trudno było usnąć tej nocy, a gdy się wreszcie udało, znowu zadzwonił ostro telefon. Rozespany Dolenc podnosi słuchawkę, po długiej chwili znaczącej ciszy rozbrzmiewa równie znaczący sygnał. To powtarza się jesz-

cze dwa razy. Dolenc rezygnuje ze snu, siada na łóżku i wtedy ktoś mocno stuka do drzwi. Jest druga w nocy.

Dolenc nie ma broni, ale bierze ze stolika ciężką, marmurową popielnicę i skrada się do owych drzwi. Puszysty dywan tłumi wszelkie kroki. Drzwi są tu podwójne, Dolenc otwiera jedno, potem drugie: nie ma nikogo. Wychyla się na oświetlony rzęsiście, czyściutki, oliwkowy korytarz: pusto, cicho, żywego ducha. Tak. A przecież KTOŚ NA PEWNO JEST.

XI. AMBASADOR I CZŁOWIEK Z PAŁACU

Ranek świeży, chłodnawy ale słoneczny, w hallu pełno ludzi, gadających różnymi językami, może to właśnie jakieś owe zagraniczne kongresy, a więc recepcjonista nie bujał tak całkiem. Dolenc rozpoczyna tego dnia wędrówkę po warszawskich hotelach, szybko się orientując, że dwóch smutnych facetów postępuje za nim krok w krok. O ile nie myli go pamięć, nie są to ci sami, co wczoraj. Całą kompanię ludzi dla niego zmobilizowali, czy co?!

Wędrówka po hotelach rezultatu nie daje, co było do przewidzenia, to brak paszportu, który trzeba by pokazać, żeby dostać pokój, w dodatku odstraszało działają dwaj owi faceci, podchodzący blisko i nachalnie podsłuchujący jego rozmowy. Po godzinie ma już Dolenc z głowy hotel „Warszawa” na Placu Powstańców, kiedyś Placu Napoleona, niedaleko Norcia, potem z kolei „Grand Hotel” na Kruczej, wreszcie „MDM” na MDM-ie właśnie. W końcu daje za wygraną. Można by jeszcze próbować na Krakowskim, w „Bristolu” czy „Europejskim”, ale to nie ma celu, widać, że sprawa jest już z góry przegrana. Trzeba iść do ambasady, choć przecież Joe A. Murchison stanowczo mu to odradzał, podobnie zresztą, jak chodzenie do koszar. Miał swoją rację...

Kieruje się więc Dolenc z MDM-u w ulicę Piękną, wraz ze swymi dwoma stróżami na karku. Ambasada amerykańska w Alejach Ujazdowskich to klatka ze szkła i metalu, ale dosyć przysadzista, nie taka smukła jak być powinna. Podobno Gomułka nie zgodził się na podwyższenie gmachu, bo niedaleko, prawie naprzeciwko, jest Sejm, całkiem niski. Wprawdzie w komunistycznym ustroju Sejm znaczy tyle co nic, ale jednakże, jakby to wyglądało? Komuchy, choć niby ludowe, bardzo są wrażliwe na reprezentację.

Dolenc patrzy z satysfakcją, jak dwaj Smutni Pano wie zostają za paradną dosyć bramą, przyozdobioną sztandarem w gwiazdy i pasy. W przestronnym hallu za balustradą urzędują chłopcy *marines*, uzbrojeni wcale nie najgorzej. Jeden z nich, z paskiem pod brodą, zajmuje się przybyszem, telefonuje gdzie trzeba, za chwilę zjawia się sekretarka i z promiennym uśmiechem wiezie Dolenca na górę znakomitą, przestronną windą. Tam, w pokoju wyłożonym puszystą „moketą”, czyli, jak mówi się oficjalnie w Warszawie, „wykładziną pokojową”, czuwa inna sekretarka, jeszcze ładniejsza i jeszcze promienniejsze uśmiechnięta. *Sorry*, bo Pan Ambador jest chwilowo zajęty, ale za mały kwadrans gościa przyjmie. I oto po niewielkiej półgodzinie stoi Dolenc w obliczu pana ambasadora.

Człowiek to jeszcze niestary, wysoki, wysportowany. Przed wielu laty był podobno w tej samej służbie co dzisiaj Joe Muzyczek i w tym charakterze bawił w Warszawie, gdy trwał jeszcze mikołajczykowski okres politycznej burzy i wrzenia. Ale potem przeszedł do dyplomacji, dobrze się w niej czuje, o tamtych czasach słyszeć nie chce. Tak poinformowano Kwaśnego w Waszyngtonie, co sobie teraz Dolenc przypomina.

Ambador na szczęście mówi dziś wyłącznie po angielsku, choć polski zna bardzo dobrze. Ale do zagajenia jakiejś istotnej rozmowy się nie kwapi, nalewa

whisky, miesza z lodem i wskazując przestronny, głęboki fotel, pozostawia inicjatywę gościowi. Wie pewno, o co chodzi, więc nie chce pierwszy gadać — tak to bywa.

Wreszcie wyczerpali wstępny repertuar, popili whisky, obaj nie palą, zapada milczenie. Nie ma wyjścia, Dolenc zaczyna wyłuszczać swą sprawę. Że zgubił paszport i pieniądze, że musi potwierdzić czeki, że ma trudności z hotelem „Forum”. Tamten słucha z podniesionymi brwiami, lekko zdziwiony, jakby pierwszy raz się z czymś podobnym zetknął. Ale grzeczny, bardzo grzeczny.

— *O'okay, Mister Dolenc* — mówi. — To wszystko nic trudnego. Paszport prędko wystawimy, tamten się unieważni, numer naturalnie pan pamięta, datę wystawienia może — zresztą, na pewno mają dane w milicji, my jesteśmy z nimi w kontakcie. Albo w hotelu zapisali. Czeki — naturalnie, *o'okay, o'okay*, to się załatwi z miejsca. A kiedy pan wraca do Stanów, kiedy pan chce wyjechać?

Dolenc notuje w myśli z satysfakcją, że ambasador nie pyta, w jakich okolicznościach zgubiony został paszport. Mniejszą satysfakcję sprawia mu pytanie o termin wyjazdu, jako żywo przypominające rozmowę z Davidem Edwardem Carterem. Trzeba zagasić rozmowę w tym punkcie i to szybko. — Nie wiem, nie załatwiłem dotąd swoich spraw — mówi pospiesznie. Lecz ambasador dziwi się jeszcze grzeczniej, choć odzywa się tym razem zgoła niegrzecznie: — *Sorry, sir Dolenc!* O ile słyszałem, to właśnie swoje sprawy już pan zakończył! I jakby na osłodę dodaje: — A co do mieszkania, mamy tu w ambasadzie gościnny pokój, na parę dni do wyjazdu mógłby pan zamieszkać. Także nasz *attaché* handlowy ma duże mieszkanie na Mokotowie. Więc...

Swoje sprawy zakończył?! Skądżeż to panu ambasadorowi wiadomo?! Petent chce zapytać grzecznie, ale

ambasador znów uprzedza go jeszcze grzeczniej. — Wi-
dzi pan, *mister Dolenc* — mówi — my nie zamierzamy,
nie mamy prawa zresztą — wtrącać się w czyjeś sprawy
prywatne, powiedzmy, intymne. Nawet, a zwłaszcza,
gdy nam to donosi polska policja. Ale ta pani, wie pan
zapewne, która...

— Tak, domyślam się.

— Ta pani przysporzyła nam już mnóstwo kłopotu.
Nie chciałbym, aby się to powtórzyło.

— Na czymże polega kłopot? (*Dolenc* czuje nie-
smak na dźwięk słowa „powtórzyło”, ambasador wie
o tym, ale udaje że niby nic — chce być uprzejmy).

— Sedno sprawy w tym, że pan, panie *Dolenc*, nie
wie, kim jest ta pani.

— A kimże ona jest?

Ambasador uderza teraz w ton porozumiewawczej
kordialności, celebruje nalewanie whisky, potem przybli-
ża swój fotel do fotela *Dolenc*a, zniża głos.

— Widzi pan: to jest córka wysokiego tutejszego
dostojnika, bardzo wysokiego. Policja jej tu pilnuje, my
nie chcemy tego wyzyskiwać. Ona na pewno dużo wie,
za dużo...

— I chce wyjechać za granicę!

— Właśnie, panie *Dolenc*. A to jest nonsens! Ani
oni jej nie wypuszczą, ani my jej nie przyjmiemy. Pró-
bowała już przez pana *Cartera*, nie udało się. Teraz pan
chce próbować. Ja odradzam, bardzo odradzam!

— A skąd pan ambasador wie, że ja chcę coś pró-
bować?

— My mamy swoje informacje, kontakty: z ich
służbą także. Oni są zaalarmowani... To nie leży w na-
szym dobrze pojętym interesie. Jak pan tu zamieszka,
przestaną pana śledzić. A i ona się uspokoi. W ogóle
zaś zalecałbym wyjazd. I to jak najszybszy. My znamy
teren, znamy te sprawy. Proszę nam uwierzyć.

Dolenc czuje, że go znowu krew zalewa, jak w roz-

mowie z D. E. Carterem. Kwaśny nigdy nie lubił, by o nim za dużo wiadano, a tu ów dyplomatyczny truteń najwidoczniej chce być wszechwiedzący, w dodatku komunikuje się z polską policją. Czy ma prawo?! Diabli wiedzą. A czy o pobiciu też mu zaraportowano? I on nic na to?! Zadowolony?

Trzeba się wziąć w garść. Istnieje przecież gdzieś, nad cmentarzem Arlington, niejaki Joe Murchison. Wprawdzie Dolenc nie brał go dotąd poważnie, ani jego zleceń czy propozycji. Ale teraz... Wrócić po krótkim pobycie z kompromitującą klapą na karku?! I w dodatku pod przymusem i to jakim, amerykańskim? A raczej amerykańsko-polskim, skoro oni sobie z dziobków jedzą z tutejszymi bezpieczeniakami?! Nie do wiary... W ogóle kompromitacja. Czy można jeszcze rzecz odwrócić?

Ambasador trwa w grzecznym oczekiwaniu, nie nalega, jest cierpliwy, wierzy w rozsądek rozmówcy. Gość prosi wreszcie o kartkę papieru i wbrew wszelkim zasadom pisze na niej dwa słowa. Te dwa słowa podał mu Józio Muzyczek, aby użyć ich w wypadku ostatecznym, co chyba już obecnie następuje. Dolenc nie chce wymawiać ich głośno, diabli wiedzą, czy nie ma tu podsłuchu — u tych dyplomatycznych durniów wszystko jest możliwe. Choć Murchison zakazał pisania...

Tamten znowu podnosi brwi, długo patrzy w kartkę, potem na Dolenca. Wreszcie przeprasza: wyjdzie na dziesięć minut. I wychodzi — z kartką w ręku, oczywiście. Znowu nieprawidłowość!

Wraca z miną nieprzeniknioną. — *Sorry, Mister Dolenc!* — mówi. — Nas to nie obowiązuje. To nie jest nasza sprawa!

— Jak to nie wasza? Nie nasza?!

— Widzi pan, panie Dolenc, my tutaj mamy swoją politykę. Amerykańską politykę, politykę Departamentu Stanu... Tu jest kraj komunistyczny, prawda. Ale rząd

pana Gierka jest rządem liberalnym, rządem rozumiejącym potrzeby nowoczesnego społeczeństwa. My...

— Ładnie liberalny rząd, który zmasakrował robotników w tym roku w czerwcu! Zajścia w Radomiu, w Ursusie, panie Ambasadore... Dolenc aż się udławił.

— Zajścia zawsze mogą się zdarzyć, w Stanach też — wie pan o tym dobrze. Ale pan prezydent Gierek rozumie potrzeby nowoczesnego społeczeństwa, on chce tu zbudować trwały dobrobyt. Robi to przy naszej pomocy zresztą, był przecież u Pana Prezydenta, mamy stosunki handlowe i inne, on nam szczerze sprzyja. Kraj, który osiągnie dobrobyt, złagodnieje politycznie — to nieuniknione. Współpraca ekonomiczna z Zachodem automatycznie rozluźnia zależność od Moskwy, to jest jedyna droga do stopniowego wyswobodzenia krajów Europy Wschodniej. Nie ma drogi innej, przecież na żadną wojnę nikt nie liczy, zwłaszcza w epoce atomowej. Nieprawdaż, panie Dolenc?

Dolenc czuje, że robi się czerwony, krew napływa do głowy. Ileż to razy słyszał podobne bzdury w Stanach! A tu...

Tymczasem tamten się zapalił, ciągnie dalej, jak na wykładzie.

— Taka jest nasza polityka, polityka rządu i nie może Pent... nie może nikt namawiać nas na jakieś awanturnictwo. Polacy są bardzo czujni, wrażliwi na swoją suwerenność... Oni prowadzą subtelny grę, lawirują między Moskwą a nami. Nie możemy im przeszkadzać stosując metody z arsenału przeszłości. Zimna wojna na szczęście się skończyła, panie Dolenc. Na szczęście dla nas wszystkich. I dlatego...

— Paszport najchętniej panu wystawimy, i to szybko. Przyjdzie pan zaraz do biura personalnego, zrobimy fotografie, dane spiszemy. Ale pod warunkiem: wyjedzie pan jak najprędzej. A do wyjazdu zamieszka pan u nas. Żeby uniknąć jakichkolwiek przykrości. Zresztą

hotele w Warszawie będą dla pana zamknięte — jestem tego pewien. A o tamtym niech pan zapomni — przynajmniej do wyjazdu. Oby szczęśliwego... Innej drogi nie ma...

Dolenc skamieniał, Dolenc zbaraniał, Dolenc zanie mówił. Jak we śnie poddaje się zabiegom personalno-biurokratycznym, pozwala się fotografować, mierzyć, zapisywać. Żegnany pięknymi uśmiechami sekretarek i sprężystymi salutami *marines* wychodzi po dwóch godzinach. Przed bramą ambasady nie ma nikogo podejrzanego. Szpicle zniknęli. Czy to dobrze czy źle?

W hallu hotelu „Forum” wychodzi mu naprzeciw jakiś człowiek. Ano tak — to Człowiek z Pałacu. Błady, z lekka otyły, powoli mówiący.

— Dzień dobry, panie Dolenc — mówi cicho, jakby od niechcenia. Dolenc dobrze zapamiętał jego sposób mówienia. — Musimy porozmawiać, dawno już trzeba było. Jedźmy do mnie, na dwudzieste czwarte. Słyszałem, że mnie pan szukał, że pan telefonował. No i wreszcie — jest okazja!

XII. CZŁOWIEK Z PAŁACU TYLKO (ONLY)

— Więc słyszałem, że pan wyjeżdża, panie Dolenc. No cóż — szczęśliwej podróży, powodzenia! Większego jeszcze, niż tutaj.

— A skąd wiadomość o moim wyjeździe?

Dolenc rozgląda się po pokoju 2407. Taki sam, jak jego, tylko inaczej trochę urządzony. Jest tu bardzo jasno, a pomiędzy ich fotelami stoi przesuwany na kółkach stolik z baterią różnokolorowych butelek. Na razie nie piją, nikt w każdym razie nie zaprasza. Ale butelki symbolicznie stoją.

Pułkownik namyśla się nad odpowiedzią. Pułkownik omija temat. Pułkownik lubi tylko aluzje. Jednakże w końcu uderza wprost.

— Dosyć pan w końcu tu narozrabiałeś, panie Dolenc. Dosyć, jak na jeden pobyt. Więc trzeba wyjechać. Zwłaszcza, że i koledzy z Ambasady też za panem nie stoją...

— Skąd pan to wie, pytam po raz drugi?!

Dolenc jest zdenerwowany, podczas gdy tamten jest spokojny. Jeden wszakże musi mieć przewagę — każda rozmowa to po prostu pojedynek.

— Coś w końcu wiedzieć muszę, panie Dolenc! To mój fach — praca jak każda. Pan zresztą dużo powinien wiedzieć, pan też to kiedyś robił.

— No, chyba nie całkiem to.

— Co za różnica? Czasy się zmieniają, ale robota trwa. Tylko że pan dałeś się tu nabierać. I to przez dziewczynę w dodatku. My pana ratujemy, panie Dolenc, pan tu nie znasz życia...

— Ładnie ratujecie: napadacie, chcecie struć. Może pan zaprzeczy?

— Ja nie wiem, o czym pan mówi, panie Dolenc. Widzę, że pan jest zdrowy i cały, a to najważniejsze. Zobaczył się pan z ojczyzną, przypomniał pan sobie, pomarzył. No i dobrze, no i wystarczy. Wyjeżdżaj pan, pókiś cały, mogło być gorzej. Myśmy pańscy dobrodzieje, nie chcemy awantur, nie chcemy niczyjej krzywdy. I przed tą dziewczyną pana ratujemy...

— Przecież to pańska agentka!

— Daj pan spokój — dziwka, nie żadna agentka! Już pan jej nie zobaczy. No i na zdrowie. Dla pana oczywiście. A dla nas mniejszy kłopot!

— Chwila milczenia, Dolenc rozważa słowa „dobrodzieja”, tamten trwa w bezruchu. I wreszcie mówi pojednawczo, jakby bagatelizując zamykał sprawę.

— Napijmy się na jedną nóżkę, co będziemy na sucho dyskutować. Pan nie zna życia — tutejszego. Kiedyś pan może znał, dzisiaj to co innego.

Wypili, nawet grzybkiem zakąsili i Dolenc znowu nie wie, co powiedzieć. Człowiek z Pałacu bierze to za urazę, więc dalej na swój sposób szuka pojednania.

— Widzi pan, myśmy naprawdę pana dobrodzieje. Niech no pan spojrzysz na to!

Wyjmuje z kieszeni jakąś kopertę, kładzie przed Dolencem. Dolenc otwiera: zdjęcia. Cały cykl zdjęć, on z gołą Mariolą w łóżku. W różnych sytuacjach... Nieprawdopodobne! Niczym w najbanalniejszym filmie kryminalnym. Czy szpiegowskim... Jak oni to zrobili właściwie?!

— Teraz pan widzi, co baby potrafią. A ja panu coś powiem...

Pułkownik rad jest z wrażenia, z zaskoczenia, lecz ukrywa swój triumf. Taktowny poniekąd facet, czy też tak mu wypada ze służby? Zdjęcia oczywiście sam kazał zrobić. I pewno jeszcze posłał Ambasadzie.

— A ja panu powiem: poleciłem zniszczyć klisze. Wierz pan, czy nie wierz, ale poleciłem. I to pan także może wyrzucić. Ma pan szczęście, panie Dolenc, że pan na mnie trafił... Bo ci z kontrwywiadu by pana zniszczyli. Oni takich jak pan nie lubią.

— Takich jak ja, to znaczy kogo?! Z taką przeszłością, chce pan powiedzieć?

— Nie udawaj pan Greka, tu o przeszłość nie chodzi. Mamy facetów z jeszcze gorszą, i w Partii i w służbie. Zna pan ich nawet. Nam chodzi o to, co teraz, o to, z czymś pan przyjechał.

— A z czym?

Dolenc czuje panikę, mróz mu zaczyna latać po kościach. Kopertę ze zdjęciami wrzucił nieznacznie do kieszeni, ale cóż z tego?! Co tamten wie, u diabła?! Czyżby w ambasadzie... Nie, to niemożliwe.

Człowiek z Pałacu marszczy się z urazą za niedomyślność rozmówcy. Zaczyna mówić powoli, dokładnie, jak na wykładzie. Aż za wyraźnie: oczywiście tu gdzieś tkwi nastawiony magnetofon, a pułkownik chce mieć dowody. Dowody swojej dobrej pracy, subtelnej pracy. Waży dokładnie każde słowo.

— Niech pan posłucha, niech pan mnie dobrze zrozumie, panie Dolenc. Bo sprawa wygląda tak: — Czyś pan z wywiadu czy nie z wywiadu, to nie nasza rzecz. Nie moja, w każdym razie. Zresztą, to kwestia otwarta. Jak zechcemy, może pan być z wywiadu, jak nie zechcemy — może pan nie być. Na razie nie ma sprawy, a nam na skandalu nie zależy. Więc spływaj pan, pókiś cały i w porządku. Bo „oni”, jak się uprą, to panu

udowodnią wszystko! Choćby te spiski ze syjonistami.

— Ze syjonistami?!

— No tak, z tym Buczańskim jakimś!

— Przecież to absurd, to...

— Być może, nie upieram się. To nie moja rzecz, powtarzam panu! Moja rzecz, pilnować tę... dziewczynę, żeby głupstw nie narobiła. A ja mam już dosyć całego kramu: najpierw z tym Carterem, teraz z panem... Więc mówię, wracaj pan do Ameryki, pókiś nie oberwał. Oni nie żartują, a ja chcę mieć spokój. No i wypijmy na drugą nogę!

Tamten chce mieć spokój, ale Dolenc ma go coraz mniej. — A gdzie mój paszport? — pyta, chcąc nawiązać do konkretnego, do swojego konkretnego. Ale pułkownik farby nie puszcza, reguł gry nie pominie, to nie jego rola. — Dajże pan spokój — mówi bagatelizująco. — Skądże ja mam wiedzieć, gdzie jest pański paszport? Pewno w ambasadzie!

Rad z rzekomego dowcipu zapala po raz pierwszy papierosa. Rozmówcy nie częstuje, to nieostrożność, zdradza się, że wie. Choć właściwie nie ma tu co zdradzać, gra idzie już w otwarte karty. Puszczą kłęb dymu i jakby dla zaokrąglenia sprawy dodaje:

— W hotelu pan już mieszkać nie będzie, więc tymczasem paszport niepotrzebny. A za to tam, gdzie pan zamieszka, ONA pana nie znajdzie. I w ogóle pana w Warszawie już nie znajdzie...

— Ona?! A kto ona jest właściwie?

Pułkownik rzucił okiem na Dolencę i przez chwilę cały oddał się paleniu. Wydawało się już, że zapomniał o pytaniu, gdy oto mruczy: — Poczekaj pan chwilę. Zniknął za drzwiami, tam gdzie u Dolencę w pokoju mieści się łazienka, nie ma go dosyć długo. Wraca, znów dziwnym wzrokiem przygląda się Dolencowi. — Naprawdę pan nie wie, kto ona jest?

— Ona, ta Mariola czyli Marysia, to córka generała

Wiśniewskiego Zbigniewa. A o nim wiesz pan, kto jest?

— Wiem — mówi Dolenc, choć pojęcia nie ma.

— No właśnie. Pierwszy wiceminister z MON-u, dowódca wojsk lotniczych i rakietowych. A tutaj pan do tego interesu się pcha! Rozumie pan teraz, że jej pilnujemy? Czy u was może zrobiliby inaczej?!

— Ale przecież to pańska agentka!

— Powtarzam panu: nie agentka, tylko kurwa. I wariatka. Wykształcona, wychuchana, a pod „Polonią” dupy dawała. Taka natura. Rodzice w rozpacz, a ona swoje. Ostatnio znów ubrdała sobie, że wyjedzie za granicę. Najpierw próbowała z tym Carterem, teraz z panem. Ostrzegaliśmy ją, straszyli, żeś pan z wywiadu, że ciężka sprawa, a ona swoje i swoje. Udawała, że jest z nami, a swoje kombinowała. Jeszcze z tymi proszkami nasennymi pana nabujała, żeby sobie ważności dodać, żeby pan ją do Ameryki zabrał. I zdjęcia zrobić pomogła. Gotowa teraz na wszystko, aby tylko nawiać... A my nie puszczamy, bo nie możemy. Rozumie pan w końcu?! Mówię z panem otwarcie, jak z przyjacielem. Wasz ambasador zrozumiał, że skandal tu nikomu niepotrzebny. A pan?!

Dolenc rozumie, Dolenc prawie wierzy, Dolenc spada na ziemię — nie bardzo to przyjemne. Ale jeszcze próbuje, jeszcze szpera. — Przecież miała podobno narzeczonego, majora Michalaka? — mówi.

— A miała, miała. Też wariat z majora, po co mu się z kurwą żenić?! To adiutant Wiśniewskiego, rodzice chcieli, że to ją niby wyleczy. Ale dziwka dziwką zostanie! Tego majora to już Carter wkurzył niełicho, a jak się dowiedział, że znowu pan...

— To nasłał na mnie facetów, co mnie pobili, tak?! Czy to byli pańscy ludzie, tam w lesie, za Konstancinem, przy Ośrodku? Proszę powiedzieć!

W jednym kąciку ust Błatego Człowieka pojawia się nieznaczný półuśmieszek.

— Mówiłem już panu, panie Dolenc, że nic takiego nie jest mi wiadome. Zdrowy pan, odmłodził pan, to grunt. Najważniejsze, żeby pan teraz szczęśliwie i szybko do domu wyjechał. Rozstaniemy się w zgodzie: NIE MA SPRAWY. No — jeszcze po jednym. Ja wszystko rozumiem. Niech pan nas doceni, obywatelu Kwaśny! Dobra robota nie jest nigdy zła.

Za oknem, wysoko, warczy samolot, w dole dzwonią tramwaje. Warszawo ty moja Warszawo...

XIII. PLANOWY ODWRÓT CZYLI ODJAZD W CZASIE

... tyś treścią mych marzeń i snów”.

Taka była „Piosenka o mojej Warszawie” niejakiego Harrisa, modna w gruzach stolicy po Powstaniu i oficjalnie zwanym Wyzwoleniu. Dolenc w Meksyku i w Stanach nieraz myślał o tej piosence, zadając sobie pytanie, czy rzeczywiście Warszawa jest treścią jego marzeń. Diana twierdziła, że na pewno tak, oczywiście mówiła z utajoną przyganą, Dolenc jednak wiedział, że sprawa nie jest tak prosta. Bo właściwie która Warszawa? To miasto za jego życia zmieniło skórę parokrotnie, zmieniło postać, formę, styl. Znał Warszawę przedwojenną, wesolą i fasonową, choć też niełatwą Warszawę swej młodości. Potem Warszawa okupacyjna, dziwactwo i groza, ale także podniecenie, walka, hazard. Toporowski zastrzelił kiedyś knajpowego skrzypka, który podsłuchiwał i denuncjował ludzi. Zastrzelił i swobodnie wyszedł na Nowy Świat: nikt go nie ścigał, oni byli wolni ludzie, mimo Szkopów, to się jeszcze wspanialej pokazało w strzelaninie „Za Kotarą”, choć podobno politycznie wątpliwej, zresztą i w wielu innych wypadkach, „Wolność w niewoli”, tak to trafnie nazwał ów londyński autor.

Z kolei nowa dziwaczna faza nadziei: dwa miesiące Powstania — oswobodzona ulica Marszałkowska, gdzie

wychodziło kilkadziesiąt pism różnych kierunków, gdzie działało wolne radio! I żałosny, trupi koniec: milio-
nowe miasto, z którego wypędzano wszystkich ludzi,
chyba jedyny wypadek w dziejach świata. Przewidział
to warszawski literat, gdy w przedwojennej powieści
„Torpeda czasu” opisał scenę, jak to na bezludnym rogu
Nowego Świata i Alej Jerozolimskich spragniony towa-
rzystwa człowiek woła: „Hej, jest tam kto?!” i tylko
echo własnego głosu mu odpowiada. A to ci heca —
rzecz chyba unosiła się jakoś w tutejszym powietrzu,
skoro jeszcze przed wojną ktoś ją przeczuwał!

A potem Warszawa odżywająca, z miasta umarłego,
z pustyni ruin, kikutów, popiołów, zgnilizny przekształ-
cająca się w parterową, zuchowatą niby, mikołajczykow-
ską jeszcze, choć i bierutową. Szykowano już dla niej
zniewolenie, przeczuwała to, ale jeszcze pieściła się zno-
wu mało określoną nadzieją. Wpaść prosto z hitleryzmu
w komunizm, z jednego absurdu w drugi, to wydawało
się niemożliwe, nierealne. A komuchy umieją się przy-
czaić...

Ale prędko utracono złudzenia, zakuwanie w kajdan-
ki odbywało się metodycznie, przysłonięte epopeją od-
budowy czy patriotyzmu. Dla nich, w nieujawnionym
podziemiu, sprawa była zresztą od początku jasna. Do-
lenc wytrzymał długo, ale w 51-ym już nie dało rady.
Wyjechał, tęsknił może, może nie, po ćwierćwieczu przy-
jechał, aby zobaczyć skutki zniewolenia. Zobaczył, poz-
nał, wyjeżdża. Nie będzie już teraz czekał na spotkanie
z Warszawą, bo spotkanie przecież się odbyło, ma już je
za sobą. No i co? Właśnie, trudno powiedzieć, dziwnie
powiedzieć. Miejsce geograficznie jest to samo, usytu-
wanie ulic podobne, podział i układ przestrzeni zacho-
wano w zasadzie dawny, to dzieło grupki przedwojen-
nych architektów, którym po wojnie pozwolono jeszcze
trochę działać, aby złudzić ludzi rzekomą ciągłością, his-
toryczną kontynuacją. Ale to nieprawda, ciągłości nie

ma, bo najważniejszym wymiarem jest tu nie przestrzeń, lecz czas. Dolenc odbył swą podróż nie w wymiarach geograficznych, lecz w czasie. I stąd rezultaty nieoczekiwane.

Choć właściwie oczekiwane, tyle, że przecucia, obleczone w ciało zawsze się trochę różnią od wyobrażeń. Na przykład zniewolenie. Tak na oko go nie widać, dopiero, gdy się włączyć w jakikolwiek aparat — biurowy, policyjny, czy finansowy. Dolenc właśnie się w coś takiego włączył, załatwiając sprawę czeków, podnosząc pieniądze z banku, płacąc w hotelu „Forum”. Ileż tu machinacji i manipulacji, wynikłych z traktowania człowieka jako wroga lub oszusta, którego trzeba szykanować, a co najmniej kontrolować. Wystawanie w ogonach do różnych okienek, gdy przecież sprawę z ogólną korzyścią dla wszystkich załatwić było można w pięć minut, to także przejaw walki ze społeczeństwem, zwanym teraz „ludnością”, walki toczonej nieustannie i na wszystkich frontach przez komunistyczne państwo. W jakich celach? W sobie wiadomych. Ale komu sobie?! To właśnie jest niejasne — bezosobowa siła unosi się w powietrzu, przecież tu ludzie sami siebie wzajemnie terroryzują. Walka wszystkich przeciw wszystkim, której początek widział porucznik Kwaśny przed ćwierćwieczem, gdy opuszczał Polskę, dzisiaj owocowała w tym dziwnym mieście. Mieście jego i nie jego zarazem. Forma przestrzenna była jego, także usłane różnokolorowymi liśćmi Łazienki, Aleje Ujazdowskie, Park Ujazdowski, Agrykola. Chodził tam teraz często, czasu miał obecnie dużo, w tym swoim ostatnim, warszawskim tygodniu. Forma była jego, a także wspomnienia, budzone przez ową formę. Za to treść tego miasta uciekła mu bezpowrotnie, nie złapie jej już nigdy, choć jest ten sam, co niegdyś. Ale nie złapie jej, bo działanie czasu w bolszewii odmienne jest niż gdzie indziej. Ilość bezpowrotnie przechodzi tu w nową jakość, czego nigdy nie zrozu-

mieją zapatrzeni w swój stabilny styl życia Amerykanie. U nich upływ czasu zaledwie zdoła odrobinę podgryźć silnie wkorzoną, broniącą się samoistnie *American way of life*, tutaj czas wciąż pożera wszystko na nowo, zostawiając ciągle się odnawiającą pustkę. Ciekawy mechanizm — ale już nie dla Dolenca!

Stojąc kiedyś w stłoczonej kolejce przed okienkiem bankowym przypomniawszy sobie, jak mieszkał kiedyś miesiąc w nowojorskim hotelu nic nie płacąc — wystarczał od niechcenia zanotowany numer karty kredytowej. W krainie komputerów, gdzie mogli każdego skontrolować po stokroć, rezygnowano z tego. Tutaj natomiast, w strefie prymitywu, dokuczali każdemu i załazili za skórę, aby nie zapomniawszy, gdzie i pod czym naciskiem żyje. Ale po co to robią? To właśnie jest zagadką, której już Dolenc zgłębić nie próbuje — zwłaszcza na wyjeździe.

Obcuje teraz sporo z Amerykanami, mieszka u Gene Harrisona w służbowym mieszkaniu na ulicy Dąbrowskiego. Jest tam od frontu bardzo piękny ogród, dziś ustrójony różnobarwną szatą jesienną. Pałacyk Harrisonów przestronny i unowocześniony, wyłożony „moketą”, ze znakomitymi telefonami. Po namyśle Dolenc zadzwonił do Diany, do Waszyngtonu — aby przypieczętować już swój wyjazd z Warszawy. Pewnie Joseph A. Murchison też się zbytnio nie zdziwi. Tam nie ma niczego dziwnego, dziwność jest tutaj — sama dla siebie. A dziwna wizyta niezbyt się Dolencowi udała! Wróci Diana, wróci to, co było.

Do ambasady chodzi teraz rzadko, nie chce przecież widzieć Davida E. Cartera, z którym go niby łączy specyficzne „koleżeństwo” w sprawie Marioli. Jak to właściwie z nią jest — Dolenc trochę o tym myśli. Rzekomo puszczała się pod „Polonią”, ale może Człowiek z Pałacu kłamie, aby ją Dolencowi obrzydzić, aby jej nie

szukał. Tak czy owak zbuntowała się, chciała uciec z generalskiego domu, uciec z Polski, jak kiedyś porucznik Kwaśny. W Ameryce też była w swoim czasie moda na przeróżne „dzieci kwiaty”, hippisów, dobrowolnych włóczęgów i abnegatów, co uciekali od bogatych rodziców, aby zaznać prawdziwego życia. Naiwni! Gdzież jest prawdziwe życie: na Wschodzie, na Zachodzie?! Dolenca stracił już wszelki pogląd na tę sprawę. Jedno wie na pewno — prawdziwe życie już mu minęło.

Zajrzał także kiedyś, jak obojętny przechodzić, do hallu w „Forum”. Wszystko na miejscu, wszystko znajome: złociste lampy w kształcie szyszek, czerwone dywany, klubowe fotele i wygodne sofy pod ścianami. Wszystko na miejscu, Blady Człowiek czuwa zapewne w pokoju 2407. Tylko nigdzie nie ma Marioli, w żadnym barze także nie. Gdzież ona być może? Aha, zapowiedziano mu przecież, że jej nigdy nie zobaczy. Ku radości również Pana Ambasadora, z którym już nie rozmawiał o „Prezydencie Gierku” i jego polityce, choć widzieli się jeszcze ze dwa razy. Zdaje się zresztą, że ambasador dzwonił lub kablował w sprawie Dolencza do Waszyngtonu i upewnił się czy uspokoił. A i przy okazji mnóstwo osób powiadomił — taki mędrak. W każdym razie dyskutować już nie muszą, a i porozumienia też na szczęście żadnego nie ma — bo go nie potrzeba. Za to wróciło porozumienie i zrozumienie z szatniarzem „Metropolu”, panem Marianem. Znów wyszczerzył złote zęby, gdy otrzymał swój dług, z naddatkiem jeszcze paru dolarów. Tylko przyjaźnie interesowne są konsekwentne i szczerze. Tylko one nie męczą.

Za to Irena nie chce przyjąć żadnych dolarów. — Jestem dobrze sytuowana, daję sobie radę — mówi. — Zresztą już się pewno nie zobaczymy, po cóż na zakończenie gadać jeszcze o pieniądzach?

Mówi to bez goryczy, rzeczowo, nawet pogodnie.

Dolencowi coraz to wyraźniej powraca sentyment do Ireny, zachwyca go znów jej spokój, z jakim traktuje wszystkie jego sprawy, domyślając się przecież, że są tajemnicze i podejrzane, że także mogą jej zaszkodzić — w końcu już się to stało. Dzielną dziewczyną, szkoda że stara — Dolenc uważa, że ona jest zupełnie udanym produktem Polski Ludowej: potrafiła się oprzeć jej truciznom, chociaż tkwi w samym środku. Podobnie jak mili Fedorowiczowie, u których spędził wieczór pożegnany. Nie dziwili się niczemu, nie pytali o nic — delikatni bardzo ludzie.

W ogóle Dolenc zagna się skrupulatnie ze swymi warszawskimi „kontaktami”, jak to sobie po staremu nazywa. Z Henkiem Michalakiem zresztą tylko telefonicznie. Mówi mu, że musi bardzo nagle wyjechać: nie chce rozgrzebywać sprawy majora Wacka, zresztą nie wiadomo, co Michalakowie w ogóle wiedzą. Za to z Michałem Toporowskim chciał się Dolenc jeszcze spotkać i pogadać o historii. Ciekawy to bądź co bądź okaz umysłu zniewolonego — ale wciąż własnego. Tymczasem „Księgarz” czyli „Koczur” gdzieś wyjechał — pożegnania „nie budiet”. A może by odszukać starego pułkownika „Sędziego” czyli „Rejenta”, twórcę i likwidatora WiD-u, sławnej niegdyś „Wolności i Demokracji”? Ostatni to z wielkich przywódców klęski, po wszystkich burzach mieszka sobie spokojnie na ulicy Filtrowej. Za Dolencem nikt już nie chodzi, czemużby nie złożyć wizyty? Ale po namyśle „Kwaśny” rezygnuje. Cóż sobie właściwie powiedzą? I po co?

Pozostał Norcio Buczański, do jego śmierzdzącej kottami oficynki Dolenc przez ten tydzień zachodzi prawie codziennie. Norcio, ów groźny „syjonista” czy „sjonista”, niczemu się nigdy nie dziwi, o nic nie pyta. Dolenc dziwi się za to, choć o tym nie mówi, owemu zasłyszalnemu z wiadomych ust słowu „syjonista”. Przed wojną tak nazywano Żydów, którzy wyjeżdżać chcieli do Pales-

tyny i mieć tam własne państwo. Cóż właściwie w tym dla Polski złego? — myśli Dolenc, ale zaraz łapie się na tym, że głupio myśli. Bo przecież tu obowiązuje polityka Moskwy. I terminologia Moskwy. „Nazewnictwo” jak się teraz mówi w Warszawie.

— Wiedziałem, Kwaśny, że niedługo będziesz musiał zniknąć. Ale ty wrócisz, jeszcze się zobaczymy. A oni też nigdy o tobie nie zapominają.

— Oni?!

— Oni, Żydzi co się tu ukrywają. I zawsze się tu ukrywali, choćby pod ziemią... Byłeś ich przyjacielem — i jesteś. Tyś swój chłop... A pamiętasz „Za Kotarą”?

Taka to i z Norciem rozmowa. Wariat, ale przynajmniej regularny. Wiadomo, o co chodzi, wiadomo, czego się trzymać.

I wreszcie jest już ten dzień. Chłodny, wietrzny, szumiący. Wiatr targa pożółkłymi topolami, okalającymi Aleję Żwirki i Wigury, gdy Gene Harrison wiezie Dolenca na lotnisko. Mijają obelisk, grób zbiorowy ruskich żołnierzy, co zdobyli kiedyś ruiny Warszawy. Wjeżdżają w ciemną aleję obok oficerskich bloków niby nowoczesnych, ciemnowych dziś, jakby opuszczonych. I oto już dworzec lotniczy, międzynarodowym zwany. Polski samolot ma zawieźć Dolenca do Kopenhagi, tam już przeładunek do amerykańskiego Boeinga.

Kontroli celnej prawie nie ma, postarał się o to Gene ze swym dyplomatycznym paszportem. Biały ptak z niebieskim napisem czeka w wietrze, pośrodku asfaltowej równiny — jedzie się doń małym autobusikiem. Dolenc, wchodząc już po schodkach, odwraca się i rzuca okiem na odległy, wysoki pomost, gdzie gromadzą się odprowadzający i oczekujący. Ktoś tam wymachuje czerwoną parasolką. A może to Mariola?!

E, nie, skąd by się wzięła, skąd by się dowiedziała,
co by tu robiła? I zresztą jakie to ma znaczenie, skoro
już zatrzaśnięto drzwiczki samolotu, skoro już odwie-
ziono schodki, skoro już dano ręczny i świetlny sygnał?
Skoro więc rozpoczął się nowy etap PODRÓŻY
W CZASIE?

Warszawa - Paryż
1981-1982

SPIS TREŚCI

1. <i>Introdukcja czyli punkt wyjścia</i>	7
2. <i>Życie zaczyna się po pięćdziesiątce</i>	17
3. <i>Stare ślady na nowej mapie</i>	27
4. <i>Spotkania z umarłymi i kawa do picia</i>	37
5. <i>W podwarszawskim lesie</i>	47
6. <i>Szczera rozmowa</i>	59
7. <i>Remanent zwątpień, tajemnic, strachów</i>	69
8. <i>Dziwna wyprawa, równie dziwny wynik</i> ..	80
9. <i>Krajobraz po bitwie</i>	89
10. <i>Dysputy, odbłyski i znowu Mariola</i>	99
11. <i>Ambasador i Człowiek z Pałacu</i>	110
12. <i>Człowiek z Pałacu tylko (only)</i>	117
13. <i>Planowy odwrót czyli odjazd w czasie</i>	123

KATALOG KSIĄŻEK « BIBLIOTEKI KULTURY »

1982

	Stron	F.
Arżak, M. (Ju. Daniel): <i>Odkupienie i inne opowiadania</i> ..	128	9,00
Barańczak, St.: <i>Etyka i poetyka</i> — Szkice 1970-1978 (Seria „Bez Cenzury”)	272	65,00
Bartecki, J.: <i>Gospodarka na manowcach</i> (z uwagami Pawła Tenczyńskiego)	80	20,00
Bieńkowska, D. I.: <i>Pieśń suchego języka</i> (Poezje)	64	9,00
Bieńkowski, Wł.: <i>Drogi wyjścia</i> (Seria „Dokumenty”)	88	10,00
Bierezin, J.: <i>Wam</i> (Poezje)	76	12,00
Bobkowski, A.: <i>Coco de Oro</i> . Szkice i opowiadania	272	20,00
Brandys, K.: <i>Miesiące</i> (1978-1979)	256	75,00
Brandys, K.: <i>Miesiące</i> (1980-1981)	224	70,00
Broński, M.: <i>Teksty i preteksty</i> (eseje literackie)	272	75,00
Busza, A.: <i>Znaki wodne</i> (Poezje)	64	7,00
Chciuk, A.: <i>Wizyta w Izraelu</i>	160	20,00
Czapska, M.: <i>Czas odmieniony</i>	160	35,00
Czapski, J.: <i>Tumult i widma</i>	352	85,00
Czaykowski, B.: <i>Point-no-point</i> (Poezje)	96	10,00
Czaykowski, B. i Sulik, B.: <i>Polacy w Wielkiej Brytanii</i> ..	581	30,00
Czarniawski, A.: <i>Wiek złoty</i> (Poezje)	64	25,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Bibliografia</i> (Kultura 1958-1973), <i>Zeszyty Historyczne</i> (1962-1973), <i>Działalność wydawnicza</i> (1959-1973)	432	75,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Bibliografia</i> . Kultura (1973-1980), <i>Zeszyty Historyczne</i> (1973-1980), <i>Działalność Wydawnicza</i> (1973-1980)	310	85,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Szkice o literaturze emigracyjnej</i> ..	416	85,00
Danilewicz Zielińska, M.: <i>Wspomnienia o Bibliotece Narodowej w Warszawie</i>	76	15,00

	Stron	F.
Dobek, Cz.: <i>Drugi rzut i inne opowiadania</i>	288	17,00
Gnomacki Wł.: <i>Towarzysz Szmaciak</i>	72	20,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. I, <i>Ferdydurke</i>	296	55,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. VI, <i>Dziennik</i> (1953-1956)	304	55,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebr.” t. VII, <i>Dziennik</i> (1957-1961)	256	50,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebr.” t. VIII, <i>Dziennik</i> (1961-1966)	224	40,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. III, <i>Pornografia</i>	168	40,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane”, t. X „ <i>V a r i a</i> ”	544	50,00
Gombrowicz, W.: „Dzieła Zebrane” t. XI, <i>Wspomnienia polskie</i> . — <i>Wędrowki po Argentynie</i>	256	50,00
G ł o s („Dokumenty” Nr 47)	272	75,00
Grynberg, H.: <i>Zwycięstwo</i>	96	9,00
Grynberg, H.: <i>Życie codzienne i artystyczne</i>	180	50,00
Guilley-Chmielowska, H.: <i>Spotkania na galerii</i>	192	9,00
Guzy, P.: <i>Krótki żywot bohatera pozytywnego</i>	160	40,00
Guzy, P.: <i>Stan wyjątkowy</i>	144	12,00
Haupt, Z.: <i>Pierścień z papieru</i>	245	13,50
Herling-Grudziński, G.: <i>Dziennik pisany nocą</i> (1973-1979), t. II	368	75,00
Herling-Grudziński, G.: <i>Skrzydła ołtarza</i>	120	10,00
Hertz, Al.: <i>Refleksje amerykańskie</i>	260	16,50
Hertz, Al.: <i>Szkice o ideologiach</i>	160	12,00
Iwaniuk, W.: <i>Ciemny czas</i> (Poezje)	80	8,00
Iwaniuk, W.: <i>Wybór wierszy</i>	108	7,50
Iwanow, I.: <i>Czy istnieje życie na Marsie?</i>	112	7,00
Iwańska, A.: <i>Świat przetłumaczony</i>	240	15,00
<i>Jak z tego wyjść?</i> (Seria „Dokumenty”)	80	25,00
Januszkiewicz, Maria: <i>Kazachstan</i>	200	55,00
Jedlicki, W.: <i>Klub Krzywego Koła</i> (Seria „Dokumenty”) ..	176	10,00
Katelbach, T.: <i>Rok złych wróżb</i> (1943)	223	8,00
Koszeliwec, I.: <i>Ukraina 1956-1968</i> (Seria „Dokumenty”) ..	272	18,50
Kot, St.: <i>Jerzy Niemirycz, inicjator Ugody Hadziackiej</i>	80	7,00
Kowalik, J.: „ <i>Kultura</i> ” 1947-1957. Bibliografia <i>Kultury</i> ..	392	15,00
Kowalska, J.: <i>Pogranicze</i>	280	80,00
Krynicki, R.: <i>Nasze życie rośnie</i> (Wiersze). (Seria „Bez Cenzury”)	104	25,00
Lipski, L.: <i>Piotruś</i>	80	7,00
Madej, B.: <i>Maść na szczury</i> (Seria „Bez Cenzury”)	208	30,00
Madej, B.: <i>Piękne kalalie albo dojrzewanie miłości</i>	168	24,00
Mieroszewski, J.: <i>Materiały do refleksji i zadumy</i>	256	40,00

	Stron	F.
Miłosz, Cz.: <i>Dolina Issy</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 5)	196	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Ogród nauk</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 10)	256	65,00
Miłosz, Cz.: <i>Poezje</i> , t. I („Dzieła Zbiorowe”, t. 1)	292	75,00
Miłosz, Cz.: <i>Poezje</i> , t. II („Dzieła Zbiorowe”, t. 2)	240	70,00
Miłosz, Cz.: <i>Poezje</i> , t. III („Dzieła Zbiorowe”, t. 11) ..	112	30,00
Miłosz, Cz.: <i>Prywatne obowiązki</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 7)	256	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Rodzinna Europa</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 6) ..	248	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Widzenia nad zatoką San Francisco</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 9)	174	40,00
Miłosz, Cz.: <i>Zdobycie władzy</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 4)	160	50,00
Miłosz, Cz.: <i>Ziemia Ulro</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 8)	224	60,00
Miłosz, Cz.: <i>Zniewolony umysł</i> („Dzieła Zbiorowe”, t. 3) ..	240	60,00
Mostwin, D.: <i>Ameryko! Ameryko!</i>	491	15,00
Mostwin, D.: <i>Ja za wodą, ty za wodą...</i>	304	30,00
Mostwin, D.: <i>Olivia</i>	288	15,00
Najder, Z.: <i>Ile jest dróg?</i>	196	60,00
Nowakowski, M.: <i>Raport o stanie wojennym</i>	100	35,00
Nowakowski, T.: <i>Happy-End</i>	208	18,50
Orłós, K.: <i>Trzecie kłamstwo</i>	240	65,00
Orwell, G.: <i>1984</i> (przedmowa M. Brońskiego)	304	75,00
Pankowski, M.: <i>Smagła swoboda</i>	55	5,00
Pawlikowski, M. K.: <i>Wojna i sezon</i>	308	15,00
Pietrkiewicz, J.: <i>Poematy londyńskie i wiersze przedwojenne</i>	200	13,50
<i>Powszechna Deklaracja Praw Człowieka w językach: polskim, białoruskim, czeskim, litewskim, rosyjskim, słowackim i ukraińskim</i> (Seria „Dokumenty”)	64	10,00
PPN — <i>Polskie Porozumienie Niepodległościowe</i>	160	35,00
<i>Przeciw niewolnictwu</i> (Seria „Dokumenty”)	64	10,00
<i>Raport o stanie narodu i PRL</i> (Seria „Dokumenty”)	224	65,00
Reale, E.: <i>Raporty. Polska 1945-1946</i> (Seria „Dokumenty”) ..	288	18,50
Rekulski, A. T.: <i>Czy drugi Katyń?</i>	46	20,00
Rembek, St.: <i>W polu</i>	309	8,00
Romanowiczowa, Z.: <i>Skrytki</i>	200	55,00
De Roux, D.: <i>Rozmowy z Gombrowiczem</i>	160	15,00
Scherer, O.: <i>W czas morowy</i>	208	13,50
Singer, B.: <i>Od Witosa do Sławka</i>	400	18,00
Solski, W.: <i>Moje wspomnienia</i>	384	55,00
Staliński, T.: <i>Śledztwo</i>	224	25,00
Stempowski, J. (Hostowiec, P.): <i>Eseje dla Kassandry</i>	300	20,00

	Stron	F.
Stempowski, J. (Hostowiec, P.): <i>Od Berdyczowa do Rzymu</i> ..	416	35,00
Sukiennicki, W.: <i>Legenda czy rzeczywistość</i> (Seria „Dokumenty”)	128	9,00
Sułkowski, W.: <i>Szkoła zdobywców</i>	64	15,00
Swianiewicz, St.: <i>W cieniu Katynia</i>	360	55,00
Tarniewski, M.: <i>Płonie komitet</i>	196	65,00
Toporska, B.: <i>Siostry</i>	216	13,50
<i>We własnych oczach</i> (Antologia współczesnej literatury sowieckiej)	524	24,00
Wierzyński, K.: <i>Sen mara</i> (Poezje)	128	11,00
Winczakiewicz, J.: <i>Izrael w poezji polskiej</i> (Antologia)	354	25,00
Witos, W.: <i>Moje wspomnienia</i> , t. I/III	1324	99,00
Wittlin, J.: <i>Orfeusz w piekle XX wieku</i>	654	34,00
Wołoszynowski, J.: <i>Było tak...</i>	200	45,00
Woroszyński, W.: <i>Literatura</i> (Seria „Bez Cenzury”)	180	45,00
Zaremba, P.: <i>Historia dwudziestolecia 1918-1939</i> , t. I i II, str. 238 i 342	670	170,00
Zawadzka-Wetz, A.: <i>Refleksje pewnego życia</i> (Seria „Dokumenty”)	240	16,50
<i>Znasz-li ten kraj?</i> (Seria „Dokumenty”)	348	24,00
<i>Zeszyty Historyczne</i> poświęcone najnowszej historii Polski, ukazywały się od roku 1962 do 1972 włącznie dwa razy do roku. Od 1973 ukazują się co kwartał: w lutym, maju, sierpniu i listopadzie.		
Każdy Zeszyt liczy 240 (lub 256) stron. Zeszyty Nry 2, 3, 4, 5, 6, 7, 11, 12, 13, 15, 16, 18, 19, 20, 40, 41, 42, 46, 47, 49, 50, 51, 52, 53, 55, 56, 57 są wyczerpane. Ukazał się Zeszyt 61 (sierpień 1982).		
Cena pojedynczego Zeszytu		50,00

Prosimy Czytelników, by przy niewielkich zamówieniach dodawali 10 % ogólnej sumy na koszty przesyłki — przy większych 5 %.

Reni Polak

**ACHEVE D'IMPRIMER
LE 20 OCTOBRE 1982
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e).**

Dépôt légal : 4^e trim. 1982.

